NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. . . TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 28 lipca 1906 r. Nr. 30.

Zamach na pociąg z płatnikiem.

(Treść na stronie 2)



Zamach na pociąg z płatnikiem.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed kilku dniami na kolei Warszawsko-Petersburskiej dokonany został jeden z tych śmiałych zamachów, o których w ostatnich czasach coraz częściej daje się słyszeć. Dokonano mianowicie zamachu na płatnika kolei Petersburskiej. wiozącego 20.000 rb. na wypłatę dla pracowników. Płatnik jechał z Petersburga w oddzielnym wagonie osobowym, doczepionym do pociągu towarowego Nr. 175. Po drodze dopełniał wypłaty, a ostatnio wypłacił służbę stacyjną w Wołominie. Stamtąd wyruszywszy pociągiem, miał już bezpośrednio dotrzeć do Warszawy. Jakoż gdy znaleziono się na 1038 wiorście, położonej w promieniu 1 wior. od przystanku Ząbki, maszynista pociągu nagle dostrzegł w oddali czerwoną chorągiewkę. Na widok tego alarmującego sygnału, pociąg, który był w pełnym biegu, jęto stopniowo hamować. W miarę wszakże zbliżania się pociągu do miejsca, w którem znajdowali się alarmujący, maszynista coraz bardziej przekonywał się o bezpodstawności alarmu i dlatego, nie bacząc na wciąż jeszcze powiewającą chorągiewkę, pociągu nie zatrzymywał. Wreszcie pociąg znalazł się już tylko w odległości kilkudziesięciu kroków od tajemniczych ludzi, wybiegających pojedyńczo z pobliskiego lasu. Było ich około 20. Wszyscy stanęli na plancie. Widząc, iż maszynista mimo sygnału pociągu nie zatrzymuje, momentalnie dobyli broni (uzbrojeni byli w karabiny mauzerowskie) i wycelowali w stronę



Jeden z ostatnich z r. 1848: Śp. Józef Kropiwnicki, uczestnik bojów o wolność w r. 1848 i 1863, wieloletni nauczyciel języków obcych w gimnazyach, na uniwersytecie i w politechnice, zmarły 13 b. m. we Lwowie w 82 r. życia.



Błękitne gody: Ślub ordynata hr. Zamoyskiego z Maryą Różą Zofią księżniczką Sapieżanką w Biłce szlacheckiej: panna młoda. (Fot. J. Golcz w Warszawie).



Mecenas Adolf Suligowski w Warszawie, wybitny działacz społeczny, twórca projektu samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem.



Fotografował umyślnie dla „Nowości Illustrowanych" A. Drankow w Petersburgu.

Rozwiązanie Dumy: Posiedzenie komisyi agrarnej, w Pałacu Taurydzkim w Petersburgu, obradującej nad projektem rozgłośnego komunikatu w kwestyi agrarnej, który stał się następnie powodem decyzyi rządu, co do rozwiązania Dumy.

parowozu. Maszynista zauważył to, i doskonale już wówczas rozumiejąc sytuacyę, jął całą siłą pary przyspieszać bieg pociągu. W tej chwili jednak posypał się grad strzałów. Sześć kul wymierzonych do parowozu porozbijało wszystkie szyby i podziurawiło wiele części składowych. Jedna z kul lekko raniła w nogę maszynistę. Poza tem strzały skierowane były do wagonu osobowego, w którym jechali płatnik i służba. Wszyscy znajdujący się wewnątrz, przedtem już zaalarmowani strzałami, poukrywali się pod ławkami. Wskutek tego 9 strzałów, które poprzebijały ściany wagonu na wylot, nikomu z jadących szwanku nie przyczyniły. Pociąg ostatecznie zatrzymany nie został, a sprawcy, widząc, iż zamach nie powiódł się, ruszyli z powrotem do lasu. Wkrótce po przybyciu „bohaterskiego“ pociągu do Warszawy, na miejsce zajścia władze wysłały żołnierzy i żandarmów; zażądały także oddziału kozaków, celem zarządzenia pościgu za sprawcami zamachu. Służba drogowa w czasie zamachu była nieobecna, gdyż właśnie zgromadzono ją uprzednio w Wołominie, gdzie odbywała się wypłata.



Strejki cukiernicze w Warszawie: Wielka cukiernia Lardellego przy ul. Boduena od strony Nowojasnej z wytłuczonemi szybami lustrzanemi. Fot. Kulewski.



Strejki cukiernicze w Warszawie: Wybite szyby lustrzane w oknach wspaniałej kawiarni Bristol. (Fot. Kulewski.)

Błękitne gody.

Łatwo sobie wyobrazić, jak szczególny widok przedstawia jadący na automobilach orszak weselny, w którym wśród strojów uroczystych przeważają kontusze, delie, żupany, kołpaki, karabele, słowem, echa minionych czasów świetności szlacheckiej Polski — na powozach XX wieku, bez koni.. Takie wesele widziała Biłka-szlachecka pod Lwowem przed tygodniem, gdzie odbył się w kościele parafialnym ślub Maurycego Zamoyskiego, ordynata na Zamościu i posła do Dumy rosyjskiej, syna śp. Tomasza i Maryi z hr. Potockich z Jabłonnej 1-voto Zamoyskiej, 2-voto Konstantowej Lubomirskiej, z księżniczką Maryą Sapieżanką, córką księcia Jana i Seweryny z hr. Uruskich. Na uroczystość tych zaślubin zjechały się najstarsze rody ze wszystkich ziem polskich, z wszystkimi bowiem spokrewniony jest albo pan młody, albo panna młoda. Najwięcej osób przyjechało z Królestwa Polskiego. Po obrzędzie zaślubin podejmowała orszak weselny gościnnie matka panny młodej z synem, a bratem panny młodej, ks. Eustachym Sapiehą. Do uczty weselnej zasiadło 180 osób, a wśród gości znalazła się także reprezentacya administracyi dóbr ordynackich z p. Czarnowskim na czele.

Podobiznę pana młodego podaliśmy dopiero niedawno w „Nowościach“, zapoznajemy tedy dziś naszych Czytelników z fotografią nadobnej panny młodej.

Jeden z ostatnich z roku 1848.

Dnia 13 lipca zgasł we Lwowie śp. Józef Kropiwnicki, jeden z ostatnich obrońców wolności w r. 1848, jeden z niewielu już uczestników bojów r. 1863. Urodzony w majątku rodzicielskim Szamarzewie, w Królestwie Polskiem w r. 1824, od młodości doznawał przykrych skutków opieki władz rosyjskich i pruskich i wskutek tego, nie skończywszy formalnie studyów, pozostawał w późniejszych latach, ten tak głęboko wykształcony człowiek, na skromnem stanowisku nauczyciela języków obcych w gimnazyach, Uniwersytecie i Politechnice we Lwowie. Kiedy zabłysła nadzieja wyrwania Ojczyzny z więzów, raz w r. 1848, drugi w 1863, pośpieszył w szeregi a w międzyczasie odsiedziawszy pruskie więzienie, kilka lat spędził w domu śp. Jana hr. Zamojskiego w Auteil, jako nauczyciel jego dzieci i bratanków. Osiadłszy ostatecznie w Galicyi, przez lat 30 przeszło pracował, kształcąc ukochane przez siebie młode pokolenie nie tylko umysłowo, lecz i moralnie, wpajając w nie swoje szlachetne zasady i ucząc żyć dla Boga i ludzi. Prawy do ostatecznych granic, mrówczo pracowity do ostatniego prawie tchnienia, serdeczny w stosunkach z ludźmi, najlepszy i najczulszy mąż i ojciec, budził w sercach szacunek najwyższy i miłość; to też żal ogólny towarzyszył mu do grobu, gdzie spoczął po trzymiesięcznych cierpieniach. Pozostawił żonę i pięcioro dzieci. Była to we Lwowie postać popularna wśród młodzieży szkół średnich i wyższych, która wielce szanowała tego krzepkiego do ostatka starca siwego, chodzącego zawsze w postawie żołnierskiej. W nieboszczyku ceniono najlepszego we Lwowie znawcę języka angielskiego.

Cześć Jego pamięci a pokój wzniosłej duszy!



Fotografował umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ A. Drankow w Petersburgu.

Rozwiązanie Dumy: Grupa polskich posłów włościańskich w Dumie państwowej w Petersburgu: w pierwszym rzędzie: Ostrowski, Nakonieczny i Błyskosz, za nimi Wasilewski i Żukowski.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

18 Ciąg dalszy.

— Aha — pomyślała sobie — już raz ma bianka była zamężną... mąż uciekł i teraz, jak na złość, zjawił się przed samym ślubem jej z baronem... i dziecko przywiózł... Oho, teraz nic już z kłopotu nie wyciągnie Rożniewskiego...

W czasie długiej podróży wspólnej opowiedział książę Czerski pani Rożniewskiej-Anielskiej niezwykłe dzieje swego życia.

Człowiek ten spędził burzliwie młodość na obcych lądach i morzach.

Tułał się po oceanach, pędzony w świat daleki jakąś przedziwną gorączką, która nie dała mu przez tydzień usiedzieć na miejscu.

Zapalonym był marynarzem i szereg lat przeżył na okręcie.

Dziad jego stracił książęcą fortunę, ojciec przegrał w karty resztę majątku. Matka zubożała, po śmierci męża pozostawała na utrzymaniu możnych krewnych. Umarła wkrótce, zostawiając jedynego syna, Mirosława.

W tym młodzieńcu była duma przedziwna, która nie pozwoliła mu imać się pracy zwykłej na utrzymanie własne, ani korzystać z łaskawego chleba u krewnych.

On chciał żyć i używać, a nie stać go było na to. Wprawdzie wujowie i stryjowie bardzo bogaci nie żałowali mu pieniędzy, ale to krępowało Mirosława.

Przypadkiem znalazł się jakiś człowiek, który go raz odszukał, żeby mu zwrócić dług, należny jego nieboszczykowi ojcu. Była to suma dziesięciu tysięcy rubli, z którą człowiek ten w swoim czasie rozpoczął interes handlowy. Poszło mu dobrze, dorobił się znacznego majątku. To też widząc, że syn jego dobrodzieja znajduje się w kłopotach materyalnych, oddał mu z wdzięcznością dług, o którym nikt nawet nie wiedział.

Chętnie przyjął te pieniądze młody książę Mirosław i nazajutrz kraj opuścił. Podróżował po świecie dopóki było za co. Trwało to nie długo.

Ostatni grosz wydał, znalazłszy się w Japonii. Ponieważ zakochał się był w morzu, nie dziw, że nie namyślając się wcale, wstąpił do marynarki.

Miał szczęście. Powodziło mu się niezwykle. Duszą i ciałem był marynarzem i odtąd niemal nie opuszczał okrętu, krótko zawsze bawiąc w portach. Czuł się szczęśliwy, zarabiając sam na siebie i znajdując zadowolenie zupełne w awanturniczem życiu marynarskiem, w ciągłej podróży po krajach egzotycznych.

— Płynęliśmy raz właśnie z Chin ku wyspom Filipińskim — opowiadał dalej książę Czerski słuchającej go uważnie Wandzie — i już mieliśmy rychło dobić do brzegu Manili, gdy zerwał się niespodziewanie straszny tajfun.

Zbłądził nasz okręt w drodze.

Przez cały dzień pędziliśmy z niesłychaną szybkością przed siebie, nie wiedząc dokąd...

Kiedy orkan połamał nam już nietylko wszystkie maszty, ale cały okręt znajdował się w takim stanie, że czekaliśmy tylko chwili, w której wszystko pójdzie na dno morskie, znaleźliśmy się nieopodal wybrzeża Borneo.

Aż naraz, gdy wszystkim zabłysły przecież promienie nadziei, orkan ze zdwojoną siłą rzucił okrętem na skały podwodne. Jak czółenko mizerne rozbił się o nie statek już wyniszczony 30 godzinną walką z żywiołami.

Załoga nie zdołała się ocalić.

Wszyscy zginęli w toni morskiej. Wraz ze szczątkami okrętu poszli na dno...

Pani... oto masz przed sobą człowieka, który cudem jakimś uratował się wówczas jedyny z całej załogi...

Mieszkańcy tubylcy znaleźli mnie nieprzytomnego na wybrzeżu, gdy mnie fale morskie wyrzuciły jak trupa.

Zaniesiono mnie zaraz do księcia. Kiedy odzyskałem przytomność, zoryentowałem się od razu, jak straszna śmierć czeka mnie z rąk malajczyków miejscowych, znanych mi z niesłychanego okrucieństwa względem europejczyka, który by dostał się w ich ręce.

Stanąłem wreszcie przed groźnem obliczem ich kacyka. Ale wzrok księcia nie pocieszył mnie bynajmniej. Nie natrafiłem w nim nawet na cień litości...

Już byłem zupełnie zrezygnowany, nie wątpiąc, jak okrutną śmiercią przyjdzie mi zginąć, gdy wtem zauważyłem spoczywające na mnie spojrzenie łagodnej młodej niewiasty.

Domyśliłem się w niej promyka nadziei.

Przyjrzałem się jej uważniej. Mogła mieć lat zaledwie ośmnaście, a była córką księcia, z którego ust miał paść na moją głowę wyrok śmierci w męczarniach.

Czekałem jednak daremnie.

Dziwnie piękne dziewczę milczało, a kacyk wydał otoczeniu swemu monarsze rozkazy.

W myśl jego polecenia, miano mnie nazajutrz w sposób uroczysty spalić żywcem.

Tymczasem zawleczono mnie do jakiejś komóreczki. Była to chatka bambusowa, gdzie miałem przepędzić ostatnią noc swego młodego życia, na ziemi, z zawiązanemi oczyma, z rękoma i nogami skrępowanemi powrozami z łyka.

Noc ciemna zapadła wokoło. Nastała cisza grobowa. Leżałem bez ruchu z rezygnacyą, przekonawszy się, że niema dla mnie ratunku.

Nie mogłem nawet marzyć o rozluźnieniu pętów, a nie o próbie oswobodzenia się...

Ogarnął mnie wtedy nie strach, ale żal wielki. Tak młodo, tak wcześnie umierać, w sposób tak haniebny i tak straszny...

Jakże byłbym błogosławił litościwemu człowiekowi, któryby mi w tej chwili podał truciznę błyskawicznie działającą, albo rewolwer wetknął mi w rękę.

Byle nie czekać do rana, byle nie dać się tej dzikiej tłuszczy zawlec na stos płonący...

Westchnienia moje były daremne.

Powoli uspokajałem się i czekałem cierpliwie świtu, a wraz z nim i godziny śmierci.

Gdy wtem doleciał do mych uszu jakiś szelest bliski. Może to wiatr tylko... Może to jedynie ogromne liście pobliskich krzewów tak szemrzą w tej wielkiej ciszy.

Nie. To przy drzwiach mojego więzienia..

Szelest lekki przemienił się w zgrzyt, poczem drzwiczki szałasu bambusowo-palmowego skrzypnęły, jak gdyby się otwarły..

Aż naraz oddech ludzki uczułem tuż nad sobą. To jakaś postać człowiecza wsunęła się do komórki, a teraz nachyliwszy się nademną, szuka moich rąk.. Zrazu przeląkłem się, ale miękkie dotknięcie ciała uspokoiło mnie natychmiast.

Ktoś mi z rąk zdejmował pęta.

Jeszcze chwila, a swobodnie mogłem poruszyć rękoma i w swojej dłoni znalazłem drobną, miękką rękę niewieścią. Wyrwała ją zaraz i śpiesznie poprzecinała czemś ostrem powrozy, któremi skrępowane miałem nogi. Zacząłem rozprostowywać uwolnione członki, nie mogąc się dźwignąć z ziemi.

Sięgnąłem wtedy palcami do grubej przepaski na oczach, pragnąc pozbyć się jej z głowy, ale ręce mojej oswobodzicielki przeszkodziły temu ruchem energicznym. Zdumiałem się. Wszakże mnie uwolnić chciała, a nie pozwala mi zerwać z oczu przepaski.

Cóż miałem sądzić o tem... Czyżby to był podstęp jaki... Może mnie w tej chwili czekają wyrafinowane męczarnie, gdy ja już łudziłem się, że jestem wolny.

Kiedy jednak szarpnąłem nieco szmatę, która mnie ślepym czyniła, wydało mi się, że nie ogarnia mnie ciemność czarnej nocy, ale w oczy biją blaski jasne. Co więcej, wydało mi się, że o twarz uderza mnie żar, czego wszakże wprzódy nie doznawałem.

A zatem to stos już dla mnie płonie, prowadzą mnie na śmierć.. Lecz czemuż tak cicho, bez ceremonii zwyczajnych. Wokoło pustka. W szałasie na pewne niema więcej osób, ta zaś, która mi pęta z rąk i nóg zerwała — musiała być kobietą, zbyt miękkie bowiem, delikatne miała rąk dotknięcie...

Wtem oswobodzicielka moja nachyliła się znowu nademną i pomogła mi dźwignąć się z ziemi. Ścierpły mi członki wszystkie do tego stopnia, że wstać o własnych siłach nie mogłem. Z jej pomocą dźwignąłem się wreszcie, a teraz nie wątpiłem już, że istota, której figury dotykałem, podnosząc się, musiała być bezwarunkowo młodem dziewczęciem.

Więc przyszła mi myśl, iż uwalnia mnie potajemnie owa piękna księżniczka, która tak litościwie spoglądała na mnie w milczeniu, kiedy przywleczono mnie przed groźne oblicze jej ojca, kacyka miejscowego.

Stałem już na nogach i nie wiedziałem co począć, gdy naraz usłyszałem, jak ona gasiła o ziemię pochodnię. Więc to był blask kagańca, z którym przyszła mnie tutaj wśród nocy odszukać. Istotnie teraz przed oczyma po przez chustkę widziałem z powrotem ciemność zupełną, gdy przedtem najwyraźniej otaczała mnie jasność odmienna, która zarazem grzała.

Wtem ręka ciepła dotknęła mej głowy. Opaska, opadła z mych oczu i ujrzałem przed sobą w cieniach nocy postać księżniczki, tej samej, która stała u boku strasznego kacyka. Nie myliłem się tedy. Jej miałam do zawdzięczenia cudowne zaiste uwolnienie.

Teraz za rękę mnie ująwszy, wyprowadziła z szałasu na pole. Mimo ciemności, widzieliśmy się wzajemnie. Palec do ust przytknęła, milcząc ciągle, jak gdyby chciała mi dać znak, bym się nie odzywał i sprawował cicho.

Prowadziła mnie, jak dziecko, jakąś jej tylko znaną dróżką i zaledwie się opatrzyłem, znajdowaliśmy się oboje nad brzegiem morskim.

Tu spostrzegłem lekką, maleńką łódź żaglową, jakiej używali tam Malajczycy. Wskazała mi ją ręką. Zrozumiałem, że mnie poucza, iż z pomocą tej łodzi zdołam uciec

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy w tej chwili ona pierwsza wskoczyła do czółenka, zanim ja zdążyłem wejść w nie z brzegu.

Jeszcze chwila, a byliśmy już oboje na pełnem morzu.

Tu dopiero usta jej rozwiązały się.

Łamaną francuzczyzną zapytała mnie, czy ją w tym języku zrozumiem. Gdy usłyszała potakującą odpowiedź moją, ucieszyła się wielce i jęła opowiadać mi powody, dla których nie tylko mnie uwolniła, nie tylko towarzyszy mi w łodzi na falach, ale dlaczego ucieka z ojczyzny, opuszczając ją na zawsze.

Otóż dziewczyna ta potajemnie, pod wpływem jednego z misyonarzy francuskich, przyjęła naukę Chrystusa, w której tak się rozkochała całą duszą, iż nie mogąc nawrócić ojca, ani ziomków swoich, postanowiła uciec od nich, trudno jej bowiem było wyżyć wśród rodaków-ludożerców.

Z zamiarem ucieczki nosiła się już od pewnego czasu, ale po raz pierwszy dopiero nadarzyła jej się tak dobra sposobność, jak teraz właśnie, kiedy mogła jednocześnie spełnić — jak mnie zapewniała — pierwszy prawdziwie chrześciański uczynek miłosierdzia.

Życie swoje, jak pani widzi — opowiadał Czerski dalej Wandzie — zawdzięczam tedy jedynie księżniczce malajskiej.

Imię tej zacnej niewiasty było Nadina. Na łodzi żaglowej dostałem się z nią do posiadłości holenderskich, gdzie postanowiliśmy osiąść na stałe. Pokochaliśmy się wzajemnie i pobraliśmy się, wziąwszy w misyi katolickiej ślub chrześciański.

Proszę mi wierzyć, że żyłem z Nadiną tak szczęśliwie, iż do tej chwili z żalem wspominam ukochaną żonę, której — po śmierci jej — nie byłaby mi mogła zastąpić żadna inna kobieta.

Stałem się tam plantatorem. Powodziło mi się świetnie. Gospodarowaliśmy pilnie oboje. I nie byłbym pożądał nic więcej. Aliści pewnego dnia Nadina powierzyła mi tajemnicę swojego plemienia.

Zdradziła przedemną drogę sekretną do bajecznej doliny dyamentowej, o której tylko starszyzna z pomiędzy jej ziomków i braci wiedziała dokładnie, a dokąd radziła mi żona wybrać się z nią, by zabrać skarby z sobą w takiej ilości, by starczyło nam na całe życie i zapewniło szczęście dwom córkom, jakie mi powiła Nadina.

Nie śpieszyło mi się wszakże po te skarby i wyprawę do tajemnej doliny dyamentowej odkładałem jakoś z dnia na dzień.

Wtem odwiedził mnie pewnego razu sąsiad nasz, również, jak ja, plantator zamożny, nazwiskiem Reman. Człowiek ten pochodził wprawdzie z niemieckiego rodu, ale już dziad jego był mieszczaninem krakowskim i cała rodzina spolszczyła się do tego stopnia, że brała żywy udział w patryotycznych ruchach naszego narodu.

Mój sąsiad, o którym mówię, Żegota Reman, był już starszym człowiekiem i miał dwoje dzieci dorosłych, z których każde miało własną rodzinę. Mieszkali wszyscy w Polsce, a stary Żegota wiecznie nosił się z myślą powrotu do kraju, do dzieci i wnucząt.

Człowiek ten słyszał coś niecoś o istnieniu owej doliny dyamentowej i myśl o skarbach, jakie się tam musiały znajdować, nie dawała mu ani godziny spokoju.

Z kimkolwiek wdał się w rozmowę, zawsze tak nią kierował, by wywnioskować czy jego interlokutor nie wie również o istnieniu owej doliny. Wystarczało zaś zdradzić się przed nim, że słyszało się coś o niej, to już człowieka napastował bez końca.

Tak było ze mną. Reman wśród rozmowy do-

rozumiał się, że sprawa ta nie jest mi tajną, a miał słuszne podstawy do podobnych wniosków z tego względu, iż byłem żonaty z córką księcia tego właśnie plemienia, które było skarbów owych właściwym posiadaczem.

Broniłem się, jak mogłem, ale Żegota nie dawał nigdy za wygrane i nacierał na mnie tak wytrwale, aż wreszcie przyrzekłem mu raz, że wyprawię się z nim kiedyś do pieczar dyamentowych.

Odtąd nie opuszczał mnie ani na chwilę, dopóki nie oznaczyliśmy wreszcie dnia wyprawy. Obaj poczyniliśmy przygotowania do trudnej podróży. A kiedy wszystko było gotowe, pożegnałem ukochaną żonę, która mi jak najdokładniej opisała całą drogę.

W ostatniej godzinie zabrała mnie Nadina jeszcze na bok, a kiedy znaleźliśmy się sam na sam, wyjęła z pod zapaski małą puszkę misternej roboty i wręczyła mi ją uroczyście. Otwarłem i ujrzałem wewnątrz biały proszek, którego stałą, drobną dozę przykazała mi żona zażywać codzień przez całą drogę.

Wyruszyłem z Żegotą tylko we dwójkę. Obaj byliśmy dobrze uzbrojeni.

Droga nasza wiodła naprzód przez las dziewiczy, potem przez karkołomne przesmyki górskie, wreszcie przez pustynie piasczyste... Ciężka to była podróż. Z mozołem dostaliśmy się wreszcie na kres puszczy, gdzie ujrzeliśmy łańcuch skał przedziwnie fantastycznych kształtów.

— To właśnie tam — objaśniałem Żegotę, ukazując mu skały.

W istocie tam mieliśmy pójść teraz.

Ale cóż za straszny widok zastaliśmy z chwilą, gdyśmy się tam wreszcie dostali z trudem w ten labirynt skalisty...

Przed nami bielił się długi wąwóz, na który z palącego słońca sypał się żar piekielny.

Cały wąwóz był zasypany zwaliskami kamiennemi, odłamkami skał, wśród których wszędzie dostrzegłem ze zgrozą wybielone w słońcu szkielety ludzkie.

Więc tylu ludzi życiem przypłaciło wyprawy po skarby w dolinie dyamentowej..

I cóż pozabijało tych ludzi tutaj. Czyżby wszyscy wyginęli z rąk ludzkich, padli ofiarą zemsty zawistnych tubylców — myślałem, spoglądając na dolinę trupów.

Reman w pierwszej chwili omdlał na ten pełen grozy widok. Z trudnością docuciłem towarzysza. A kiedy przyszedł z powrotem do siebie, rzekł:

— Tu powietrze zatrute... Zaraza... Śmierć wdychamy w siebie... Tutaj szerzy się żółta febra...

Mimo wszystko poszliśmy dalej.

Czekała nas bowiem jeszcze parogodzinna droga mozolna.

Nakoniec znaleźliśmy się w dolinie pięknej, której bujna wegetacya tworzyła szczególne przeciwieństwo do opuszczonej przez nas niedawno pustyni skalistej.

Jednakowoż rośliny, jakie tu rosły, były wszystkie trujące... Jaskrawo barwne kwiaty wspaniałe wydawały zapach odstręczający, który odurzał, oszałamiał od razu... Na wszystkie strony błyszczały tu w słońcu małe, rozmaitych kształtów jeziorka, których woda pełna wstrętnego robactwa, wydawała zabójcze wyziewy.

A zatem byliśmy ponownie w dolinie śmierci.

Teraz odszukaliśmy wyschłe koryto rzeki, gdzie właśnie pod warstwą piasku powinniśmy byli odnaleźć upragnione dyamenty. Natrafiliśmy na nie, ale kamienie, jakie znajdowaliśmy w piasku zrazu, nie warte były tak niebezpiecznej wyprawy.

Szliśmy tedy dalej, w pamięci bowiem miałem wszystkie szczegóły drogi, jak mi je podała Nadina.

I stanęliśmy wkrótce przed jaskinią, której czarny otwór wydał nam się rozwartą paszczą smoka śmierci.

Wyobrażaliśmy sobie, że po upale, jaki nas ciągle zamęczał w podróży, zastaniemy w tej jaskini chłód pożądany. Tymczasem u wejścia zaraz buchnął w nas zaduch okropny. Wewnątrz było parno. Wyziewy zabójcze dławiły nas.

Ledwie uszliśmy kilka kroków, roztoczył się przed nami widok przerażający. Na ziemi walało się około tuzina trupów ludzkich: wszystkie były wysuszone, jak mumie.

Uczułem naraz brak powietrza, duszność dokuczliwą, która mnie zaniepokoiła. Zachwiałem się parę razy. Jednocześnie zauważyłem, że wszędzie w jaskini ziemia była pokryta jak gdyby białą chmurką dymu, a tu i ówdzie unosił się ku górze nowy obłoczek pary.

Sam słaniając się, chwyciłem za ramię swego towarzysza i pomimo oporu z jego strony, wyprowadziłem go co rychlej na powietrze z wnętrza tej zatrutej nory.

Ale Reman gwałtem parł z powrotem ku jaskini...

— Są tam, są... widziałem — powtarzał uparcie.

— Kto? co? — pytałem, powstrzymując go ciągle.

— Dyamenty, brylanty... już wszystkie nasze — wołał, jak pijany, z twarzą wykrzywioną żądzą bogactwa.

Wówczas wyciągnąłem z kieszeni chustkę, którą mi umyślnie dała żona w tym celu, owinąłem sobie nią usta i nos, poczem do pasa przymocowałem gruby sznur, dając koniec jego w rękę Żegocie.

— Skoro tylko zachwieję się, wyciągaj mnie na gwałt z nory...

Tak uzbrojony wszedłem do środka.



....Drzwiczki szałasu bambusowo-palmowego skrzypnęły, jakgdyb- ¿ otwarły....
Jakaś postać wsunęła się do komórki....

Co tam ujrzałem w głębi jaskini, to przechodziło wszelkie najśmielsze sny i marzenia moje...

Dotarłem aż do końca jamy ogromnej i naraz aż mnie oślepił widok masy błyszczącej. W kącie leżał stos drogich kamieni niesłychanych rozmiarów. Jeden mógł być kosztowniejszy od drugiego, a brylanty nie miały jeszcze największej wartości wobec innych kamieni drogocennych, różnobarwnych i różnorodnych.

Czyje one były, do kogo należały?

Wiedziałem od żony, iż w tej jaskini ukrył raz wszystkie bajeczne skarby swoje, wszystkie książę jej plemienia, zanim go nie zamordowano. Później ktokolwiek poszedł tam po dyamenty, natrafiał przypadkiem w głębi jaskini na ów skarb, lecz zanim poważył się zrabować go stamtąd, ginął marnie.

Skarb ten stanowił posag mojej żony. Jako mąż księżniczki Nadiny, ja właśnie miałem prawo do niego. Ojciec jej nie zabrał go stamtąd jeszcze, nie wiedząc do owej chwili, gdzie podziała się córka i ciągle czekając na jej powrót.

Istotnie zastałem tam stos kosztowności niesłychanych i dopiero teraz nabrałem pojęcia, jak wielkiej wartości wiano wniosła mi moja żona, nie mówiąc o sekrecie, w jaki mnie wtajemniczyła co do owej doliny dyamentowej, dając mi sposób dotarcia do niej żywym.

Drżałem na całem ciele, pakując w dwa wielkie worki drogie kamienie, zbierane garściami w jaskini. Ale, kiedy wśród tej roboty, nachyliłem sie ~az zanadto nad ziemię, zrobiło mi się natych- [redacted]

Niewątpliwie wydawało się Remanowi, iż jestem o niego zazdrosny, iż chciałbym odejść stamtąd sam z pełnemi rękoma, a z niego naigrawać się potem, że nie miał dość odwagi, dotrzeć do samego źródła bogactwa, jak ja to uczyniłem. Gdy tymczasem obawiałem się jedynie tego, że mógłby on nie wyjść żywym z owej jaskini zarazy i śmierci.

Dla przekonania go, iż jedynie na życiu jego mi zależy, proponowałem mu, że gotów jestem ofiarować mu dobrowolnie kilka garści cennych dyamentów, wiedziałem bowiem, że te kamienie budzą w nim największą żądzę, na inne zaś kosztowności, których wór cały, jako wiano mojej Nadiny, unosiłem stamtąd, nie jest Reman do tego stopnia łakomy. Ale mi na to odpowiedział, że nie miałby wówczas poczucia zadowolenia, jakiego spodziewa się z chwilą, gdy sam potrafi zdobyć sobie skarby.

Umilkłem tedy i pomogłem mu dostać się do wnętrza nory dyamentowej.

Worek swój wypełnił Żegota pośpiesznie, zbierając tylko co większe kamienie, po które nie potrzebował docierać w głąb na sam koniec jaskini — jak ja musiałem po skarby kacyka-wygnańca...

Wydobyłem go na wpół żywego, ale kiedy oprzytomniał, trząsł się cały na widok swego własnego bogactwa, a oczy iskrzyły mu się, jak u zwierza dzikiego.

Ciężką ł przeprawa nasza z powrotem, znacznie trudt ,szą, niż droga do doliny dyamentowej. Już w nas obu r rtowała teraz choroba. Wlokliśmy się z naszem. cennemi ciężarami trzy razy tak długo, niż liczyliśmy z góry.

Ale jakoś wreszcie dostaliśmy się do domu szc ,sliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Naczelnik „Sokoła“ w Kijowie.

Wzmagający się z dniem każdym ruch sokoli w Królestwie Polskiem i prowincyach dawnej Rzeczypospolitej, wymaga wielu sił już fachowo wykształconych, gimnastyków zawodowych, którzyby ten ruch poprowadzili we właściwym kierunku i stworzyli tam karne zastępy sokole na wzór naszych. Z tego powodu towarzystwa sokole za kordonem powołują na nauczycieli gimnastyki ludzi fachowo wykształconych z pomiędzy członków gron nauczycielskich w gniazdach sokolich Galicyi.

To samo uczynił „Sokół“ w Kijowie. Towarzystwo to, choć zawiązane dopiero przed kilku miesiącami, rozwinęło się już bardzo pięknie i liczy kilkuset członków. Na naczelnika swego i nauczyciela gimnastyki powołano ze Lwowa p. Hamburgera, wytrawnego i wyszkolonego Sokoła.

P. Hamburger, już jako uczeń lwowskiego seminaryum nauczycielskiego rozpoczął naukę gimnastyki w charakterze stypendysty „Sokoła“ lwowskiego, który widział w młodym tym, ślicznie zbudowanym człowieku, znakomity materyał na fachowego nauczyciela gimnastyki. Istotnie nadzieje „Sokoła“ spełniły się w zupełności, p. Hamburger bowiem, rozpocząwszy w r. 1897, po ukończeniu seminaryum, pracę w gronie nauczycielskiem „Sokoła“, stał się tego grona chlubą i wzorową siłą. Rozkochany w idei sokolej, z zapałem i poświęceniem pracował aż do końca tego roku szkolnego nie tylko w „Sokole“, ale i od roku 1898 jako nauczyciel gimnastyki w IV. gimnazyum.

Powołanie p. Hamburgera na naczelnika „Sokoła“ kijowskiego, daje rękojmię, iż młode towarzystwo pójdzie w swym rozwoju we właściwym kierunku. Życzymy mu tego z całego serca.

Placówka polskości na kresach.

Pomieszczona obok fotografia, przedstawia grupę zebranych na popisie szkolnym dzieci polskich uczęszczających do szkółki utrzymywanej przez Towarzystwo szkoły ludowej w Kołomyi w przysiołku Garby ad Kamionki wielkie.

Wskutek zaniedbania społeczeństwa polskiego, szkoła w tej miejscowości, zamieszkałej wyłącznie przez polską ludność, była ruską, a dzięki „życzliwości“ miejscowych władz, obsadzana zawsze nauczycielami Rusinami.

We wrześniu 1905 roku zorganizowało Koło T. S. L. w Kołomyi szkółkę polską, lokalu bezpłatnie udzielił włościanin polski Rzemieniecki, a kierowniczką szkoły była panna Stępkowska.

Do szkółki zapisało się z dniem otwarcia 63 dzieci polskich, podczas gdy w ruskiej zostało zaledwie 30.

W dniu 14 lipca b. r. odbył się popis szkolny w szkółce polskiej w obecności delegata T. S. L. Dzieci wykazały niezwykłe postępy, dzięki niezmordowanej pracy swej nauczycielki, a po odśpiewaniu pieśni narodowych i rozdaniu świadectw i nagród zebraną grupę odfotografował p. J. K.



Placówka polskości na kresach: Grupa zebranych na popisie dorocznym dzieci polskich, szkółki utrzymywanej przez kołomyjskie Tow. Szkoły Ludowej w przysiołku Garby ad Kamionki wielkie. (Fot. J. K.).

„Oczekiwani“.

W jednym z poprzednich numerów zamieściliśmy grupę uczestników wycieczki artystycznej, krakowskiego chóru akademickiego do miejsc kąpielowych. Dziś podajemy fotografię lwowskiego chóru akademickiego, który w ślad za kolegami z Krakowa, podąży w ostatnich dniach lipca do Truskawca, Rymanowa, Iwonicza, Rabki, Zakopanego, Szczawnicy i Krynicy, gdzie *tournée* jego w dniu 6 sierpnia się skończy. Po krótkim odpoczynku wyjedzie drużyna lwowska w Beskid Wschodni, do uroczego Jaremcza. Z dzielnym chórem lwowskim pod przewodnictwem p. Romana Słuszkiewicza, prezesa i Jana Tadeusza Nowakowskiego, sympatycznego dyrygenta, jedzie w podróż artystyczną p. Wacław Nedela, wyborny skrzypek, prof. konserwatoryum w Rydze, oraz deklamator p. Brzeski, słuchacz politechniki lwowskiej.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz we Lwowie.

„Oczekiwani“: Lwowski chór akademicki, wybierający się na wycieczkę artystyczną do zdrojowisk galicyjskich.

Powódź.

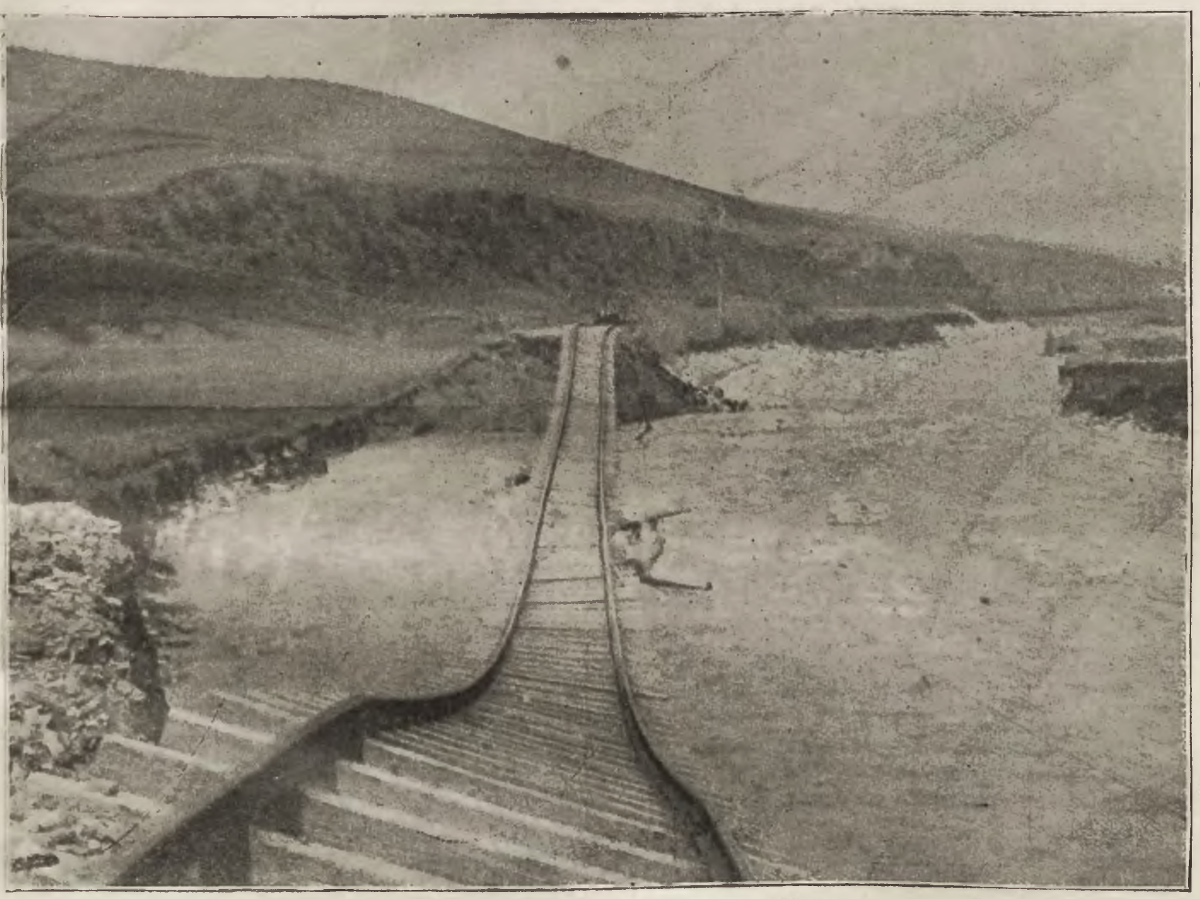
Zamieszczamy tu zdjęcia fotograficzne zniszczonego przez ostatnie wylewy toru kolejowego między Strzyłkami a Jasienicą zamkową na przestrzeni Sambor Użok.

Oto garstka szczegółów, dotyczących wypadków ostatnich w tych stronach.

Wskutek ogromnej ulewy, jaka w sobotę ubiegłego tygodnia nawiedziła powiat turczański a po części i staro-samborski, wylały nikłe zazwyczaj rzeczki górskie, w niebywale wysokim stopniu, niszcząc i zamulając nadbrzeżne pola zbożowe, zrywając mosty drożne — słowem zostawiając po sobie okropne ślady zniszczenia. Ryciny załączone dają nam w przybliżeniu miarę ogromu szkód.

W nocy z soboty na niedzielę, wezbrane wody Jasienicy zalawszy nad brzegiem położony tartak braci Landau i Wahl, unosząc na sobie olbrzymie masy drzewa budulcowego, zabranego ze składów tego tartaku, podążyły, pustosząc wszystko przed sobą. W miejscu, gdzie właśnie Jasienica płynie wzdłuż toru kolejowego. zniszczenia największe i najpoważniejsze. Mur ochronny nie ostał się długo przed wściekłemi natarciami bałwanów; druzgotany klocami i kłodami, które woda niosła, uległ przed naporem szalejącego żywiołu. Z nasypem było mniej trudu. Wody wymuliwszy go z pod szyn, wyrwawszy wielki kawał pola ornego z brzegu, spieszyły spiętrzone szerzyć w innych miejscach dzieło zniszczenia. Szyny zaś z progami zawisły na przestrzeni 100 m. nagie nad huczącą falą.

Ruch kolejowy został natychmiast przerwany. Szkody tak poważne, że restauracya gruntowna wedle orzeczenia inżynierów, potrwa przy najlepszych warunkach i bardzo intenzywnej pracy najmniej tygodni cztery. Ażeby jednakowoż nie przerywać zupełnie komunikacyi, rozpoczęto gorączkową pracę nad utworzeniem wygodnego przejścia obok zerwanego toru.



Powódź: Zniszczenie skutkiem wylewu wód Jasienicy toru kolejowego między Strzyłkami a Jasienicą zamkową na przestrzeni Sambor-Użok: widok z boku na miejsce katastrofy.

Między Samborem a Użokiem odbywa się obecnie komunikacya tylko z przesiadaniem.

Pierwsza rycina nasza przedstawia z boku miejsce wypadku, druga, z góry widziany pomost zwisających nad Jasienicą szyn i szkody, wyrządzone w brzegu; na trzeciej wreszcie widoczne podmulenie mostu kolejowego.

Nowy nadkontrolor poczty na kolei.

W urzędzie pocztowym na dworcu kolejowym w Krakowie zaszła ważna zmiana osobista, mianowicie na stanowisku starszego kontrolora, którym został p. Rudolf. Podając dziś publiczności krakowskiej jego podobiznę, załączamy parę szczegółów biograficznych.

P. Rudolf Rudolf, zamianowany nadkontrolorem poczty i telegrafu w Krakowie na dworcu kolejowym, urodził się w Tarnowie w czerwcu r. 1859. Jako porucznik z 57 pułku piechoty wystąpił i poświęcił się służbie pocztowej. Służył w Drohobyczu, następnie w r. 1890 przeniesiony został z powodów służbowych do Krakowa. Od r. 1892 bez przerwy pozostaje w Krakowie na dworcu kolejowym. Należy do bardzo zdolnych urzędników. Cieszy się nadzwyczajną sympatyą nietylko podwładnych, ale i przełożonych. Ożeniony z Polką, należącą do jednej ze starszych rodzin polskich, sam choć Niemiec z rodu, przylgnął do Polski i pokochał ją całą duszą.

Dnia 12 lipca urządzili koledzy w salach krakowskiego klubu pocztowego na jego cześć zebranie towarzyskie. Przy toastach zabawiano się ochoczo do rana.

Kurs sadowniczo-ogrodniczy w Krakowie.

Włościanie nasi lubią zakładać sady. Każdy prawie gospodarz otacza swój dom drzewami owocowemi, a czyni to nie tyle dla korzyści, ile wprost z wewnętrznego poczucia, że ładnie wygląda sad przy chacie, z przyzwyczajenia poprostu i umiłowania. Mało jednak włościan, w Galicyi zwłaszcza, umie i chce racyonalną prowadzić gospodarkę sadowniczą. Aby ich więc tej gospodarki nauczyć, wskazać korzyści, jakie ona przynieść musi, Rada szkolna wezwała nauczycieli ludowych, polecając im gorąco szerzenie wśród włościan zamiłowania do sadownictwa i ogrodnictwa. Nauczycie ludowi bowiem, ci pionerzy oświaty, najczęściej i najbliżej z ludem się stykają, najwięcej mają sposobności do szerzenia zamiłowania w tej gałęzi gospodarstwa domowego, tembardziej, że sami, zakładając sady i ogrody przy szkółkach, świecić mogą temu ludowi przykładem.

W ubiegłym tygodniu odbywał się w Krakowie specyalny kurs ogrodniczo sadowniczy dla nauczycieli ludowych. Teoryę sadownictwa wykładał p. dr. Stanisław Goliński instruktor sadownictwa z ramienia Wydziału krajowego, praktyczną częścią kursu kierował p. Brzeziński, dyrektor stacyi doświadczalnej agronomicznej na Prądniku Czerwonym. Pp. nauczyciele mogli wykłady sprawdzać odrazu na ćwiczeniach praktycznych, dzięki temu też wszyscy odnieśli z kursu duże korzyści.

Załączona w niniejszym numerze illustracya, przedstawia fotografię uczestników kursu z p. Golińskim i dyrektorem Brzezińskim pośrodku.

Tajemnicza zbrodnia.

(Do illustracyi na str. 9).

Ogromną sensacyę obudził przed tygodniem w Warszawie pełen tajemniczości wypadek. Wśród powodzi zabójstw politycznych i społecznych, zamordowano na ulicy adwokata, a zarazem muzyka, który bezwarunkowo nie miał nic wspólnego z życiem publicznem.

Od roku dotknięty chorobą piersiową, szanowany w szerokich kołach sądownictwa, adwokat przysięgły Bolesław Matuszyński, wracał z lecznicy dra Solmana, gdzie po dwukrotnej operacyi chodził codziennie do zmiany opatrunku. W ulicy Koszykowej, koło domu Nr. 25, podeszło doń jakichś dwóch ludzi, z których jeden wyprzedził go szybko i zwracając się ku niemu — strzelił w czoło. Śmierć nastąpiła momentalnie. Mordercy zbiegli. — Podobno do leżącego już bez ruchu Matuszyńskiego podeszła jakaś dziewczynka 16-letnia, która miała powiedzieć: „dobrze ci tak, musiałeś na to zasłużyć, kiedy cię zastrzelono". Dziewczyna zmieszała się z tłumem i znikła. Czy miała ona jaki związek z morderstwem, trudno stwierdzić.

Na wieść o zabójstwie Matuszyńskiego, znajomi gubili się w domysłach, co mogło istotnie być powodem mordu. Wreszcie z pewnego grona poważniejszych ludzi, wyszła opinia, stanowczo od-



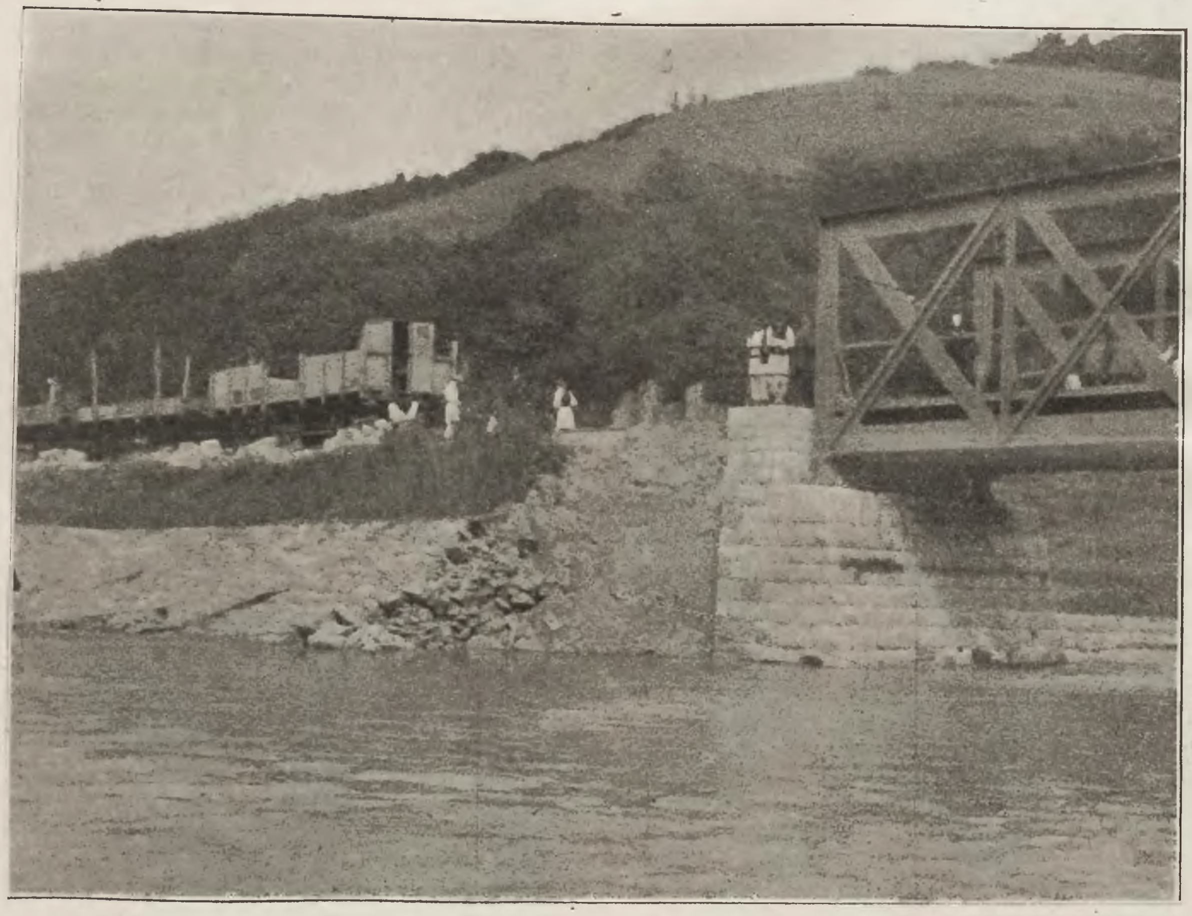
Nowy nadkontrolor poczty na kolei: Cieszący się sympatyą u kolegów i zaufaniem przełożonych p. Rudolf Rudolf, który został świeżo zamianowany nadkontrolorem poczty i telegrafu na dworcu kolejowym w Krakowie.



Powódź: Zniszczenie skutkiem wylewu wód Jasienicy toru kolejowego między Strzyłkami a Jasienicą zamkową na przestrzeni Sambor-Użok: widok zwisających nad rzeką szyn.

pierająca wszelką myśl o istnieniu jakichkolwiek bądź podstaw do zabójstwa. Było ono — powiedziano — bezwątpienia smutną, ale niestety prawdziwą pomyłką. Jakoż zdanie to wydaje się potwierdzać fakt następujący, jaki zdarzył się następnego dnia:

Wieczorem ulicą Mokotowską przechodził niejaki 27-letni Władysław Kosiński. Nagle przed domem Nr. 26 zagrzmiał strzał. Z pośród kilku postępujących za K. młodych ludzi, jeden właśnie doń wycelował. Strzał jednak chybił. Wtedy inny już człowiek podbiegł do K. i błyskawicznym ruchem zadał mu nożem dwie rany w głowę. K. padł na ziemię, zdało się, bez życia, wobec czego sprawcy zbiegli. Wkrótce jednak wezwany lekarz pogotowia stwierdził przedewszystkiem, iż K. żyje, a następnie, że rany zadane mu niebezpieczeństwem nie grożą. Cóż się jednak poza tem okazuje? Oto, jak sam K. utrzymuje, snać godzono na jego życie onegdaj. Przechodził on wówczas ul. Koszykową, a spotkawszy p. Matuszyńskiego zagadnął w pewnej sprawie.



Powódź: Zniszczenie skutkiem wylewu wód Jasienicy toru kolejowego między Strzyłkami a Jasienicą zamkową na przestrzeni Sambor-Użok: Widoczne podmulenie mostu kolejowego.



Olbrzymka Mariol Fassmauer z Tyrolu, której wzrost wynosi 2 metry 27 cm.; obok niej stoi kobieta normalnego wzrostu.



Fotografował E. Pierzchalski, Kraków.

Kurs sadowniczo-ogrodniczy w Krakowie: Uczestnicy kursu, nauczyciele ludowi; w pośrodku siedzą w kapeluszach od lewej ku prawej, pierwszy p. Brzeziński, drugi p. Goliński, kierownicy kursu.

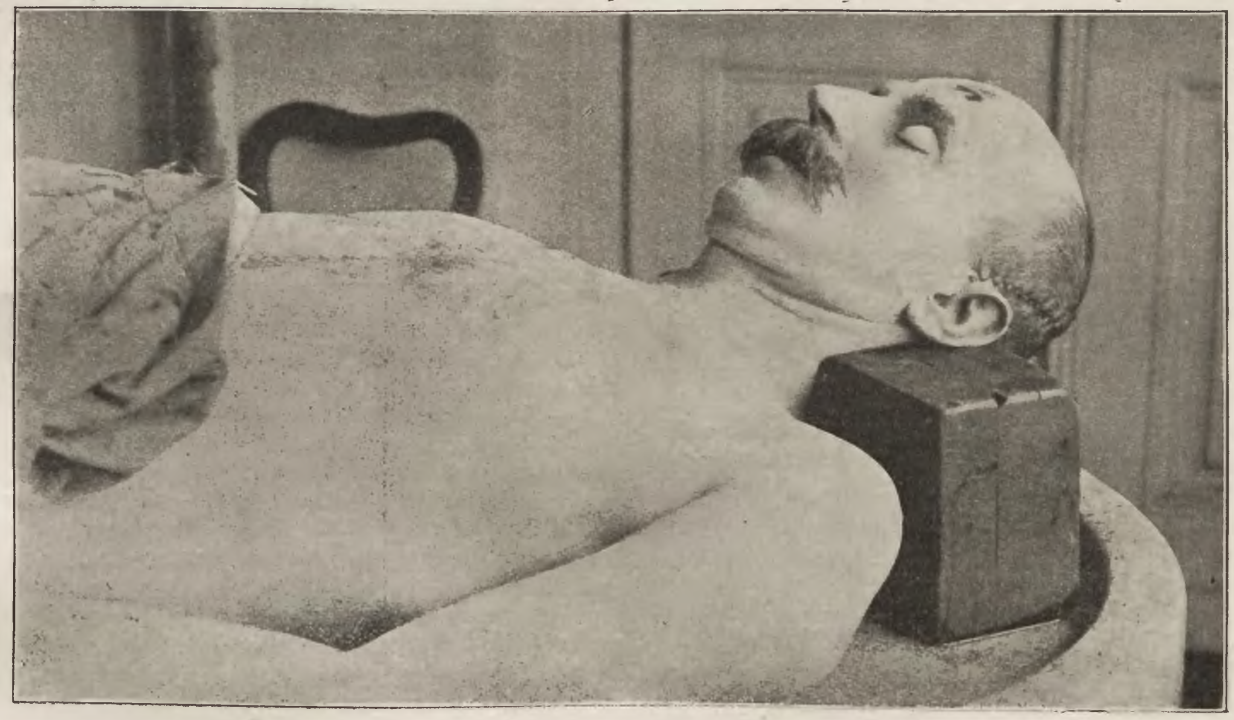
Po krótkiej rozmowie K. odszedł, a Matuszyński stał się ofiarą. Otóż reasumując fakty: spotkanie się K. z Matuszyńskim; zamach dokonany na K. i pewne wiadomości o tem, jakoby K. pozostawał w bliskich stosunkach z władzami policyjnemi, należy dojść do wniosku, że Matuszyński stał się ofiarą pomyłki, że przez spotkanie K. zbił z tropu bojówkę, która też przez nierozpoznanie ugodziła w Matuszyńskiego.

Adwokat i artysta muzyk ś. p. Matuszyński po za domem swym, gdzie mieszkał ze staruszką matką, wdową po znanym reżyserze opery warszawskiej — życiem publicznem zupełnie nie zajmował się — co wyklucza możliwość konfliktu na tle polityczno-społecznem. Urodzony w r. 1858, ukończył w r. 1876 trzecie gimnazyum w Warszawie, poczem poświęcił się studyom prawnym w miejscowym uniwersytecie. Chlubnie ukończył wydział prawny i w 1885 r. zapisany został w poczet adwokatów przysięgłych warszawskiego sądu okręgowego. Jako prawnik odznaczał się doskonałą znajomością prawa cywilnego. Wszystkie chwile wolne poświęcał muzyce, tak, że zyskał sobie ś. p. Matuszyński sławę doskonałego kompozytora.

Śmierć nieskazitelnego adwokata osierociła staruszkę matkę, której był jedyną podporą — oraz siostrę. Rozpacz tych nieszczęśliwych kobiet jest nie do opisania.

* * *

Tajemniczą postacią jest w całej tej sprawie ów Władysław Kosiński, a właściwie Włodzimierz Kosenko, były policyant i żandarm, a ostatnio szantażysta i szpieg. K. służył czas jakiś w policyi i ochranie w Warszawie, następnie wyjechał na prowincyę na gościnne występy. Powróciwszy do Warszawy — rozpoczął „pracę“ jako osoba prywatna — bądź wyłudzając pieniądze od osób, o których „coś“ wiedział, bądź zasilając swą kasę „nagradnymi“ za wiadomości o osobach, które okupić się nie chciały, czy nie mogły. Z tym to ciekawym osobnikiem rozmawiał Matuszyński na kilka chwil przed katastrofą.



Specyalnie dla „Nowości Illustr.“ fot. Quidam.
Tajemnicza zbrodnia: Zabity przed tygodniem w ulicy Koszykowej w Warszawie adwokat przysięgły i muzyk-kompozytor śp. Bolesław Matuszyński — na stole sekcyjnym w prosektoryum.

Wycieczka polsko-ruska w Krakowie.

Przybyła do Krakowa w ubiegłym tygodniu wycieczka, złożona z 47 uczniów 6-klasowej szkoły męskiej w Mościskach. Wycieczka to tem ciekawsza, że składała się i z Polaków i Rusinów. Grono nauczycielskie nie robiło różnicy między narodowością uczniów, jak jej nie robi w szkole, aby między dziećmi nie wywoływać rozłamu. Chętnie też zabrano ze sobą chłopców ruskich, mających pozwolenie rodziców, którzy sami chcieli, aby ich dzieci zobaczyły piękne miasto.

Chłopcy ruscy, ubrani w białe, płócienne ubrania, zwracali na siebie powszechną uwagę w Krakowie. Wycieczka zwiedziła bardzo dokładnie Wawel, kościół N. P. Maryi, Skałkę, kilka muzeów, oprowadzana przez nauczycieli pp. Daczyszyna, Klawera, Muca i Zaneta. Szczególnie wiele czasu poświęciła wycieczka zwiedzania Wawelu, katedry i grobów królewskich. Nic też dziwnego, że kiedy wyszli z Krakusowego wzgórza, na czołach ich duma jaśniała i powaga, w oczach błyszczały płomienie. Wrażenie, jakie wynieśli z Krakowa, pozostanie z pewnością w ich młodocianych sercach, jak w spiżu wyryte. Będzie ono dla nich kiedyś najmilszem wspomnieniem z lat dziecięcych.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya przedstawia fotografię zbiorową wycieczki, zdjętą u stóp pomnika Kościuszki w parku dra Jordana.



Fot. E. Pierzchalski, Kraków.
Wycieczka polsko-ruska w Krakowie: Młodzież szkolna z Mościsk z nauczycielami, zwiedzająca pamiątki krakowskie; grupa pod posągiem Kościuszki w parku dra Jordana.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

19 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Będziesz raz gadać! — krzyczał — wymień mi jego nazwisko, albo — na Boga — stanie się nieszczęście!

Z twarzy jej znikła, zdawało się, najmniejsza kropla krwi. Zacisnęła swe małe, ptasie usteczka i najmniejszy dźwięk nie przeszedł przez jej wargi.

Hrabia nie zdołał już dłużej panować nad sobą. Chwycił ją za ramiona i zaczął nią trząść i szamotać, że zdawało się, iż żywą już z jego rąk nie wyjdzie.

— Będziesz odpowiadać, czy nie?! — wołał. — Masz mi powiedzieć, kto jest tym gałganem, co mnie przed tobą oszkalował!

A ponieważ i teraz nic nie odpowiadała, hrabia Robert stracił zmysły i jak wściekły podniósł rękę, aby ją uderzyć.

Ale w tej samej chwili Erna wypadła mu z rąk i usunęła się, jak martwa, na fotel. Hrabia przerażony wpił w nią swój wzrok, bo nie wiedział, czy żyje jeszcze, czy też umarła.

ROZDZIAŁ XXXII.

Pięć tysięcy marek za list!

Tymczasem Ilona czekała niecierpliwie w pokoju jadalnym na powrót swego kochanka; ani nawet przez myśl jej nie przeszło, jaka scena rozgrywała się teraz w buduarze Erny.

Była w dobrym humorze, rzuciła się więc na kanapkę i zaczęła się bawić brylantowym pierścionkiem, jaki jej błyszczał na palcu. Cieszyła ją sama myśl o tem, jak swobodnie odetchnie, kiedy się wyzwoli nareszcie z tych przeklętych murów zamkowych i wyfrunie w świat. A wtedy nie tylko nie będzie musiała widywać się ze znienawidzoną Erną, ale uwolni się z jarzma, w jakie ją usidłał ten zbrodniarz Marceli. I na samą myśl o tem roześmiała się kaskadą srebrzystego śmiechu.

Twarz jej zasępiła się jednak, kiedy do pokoju wszedł nagle i bez pukania Marceli.

— Ty łajdaku, jak ty śmiesz wchodzić tutaj bez zameldowania? Nie wiesz, jak się masz zachowywać wobec swych chlebodawców?

Marceli nie odpowiedział; na twarzy jego ukazał się jednak impertynencki uśmiech, jaki się zwykle u niego pojawiał, kiedy rozmawiał z Iloną.

— Wiedziałem przecież, że pani jest sama w pokoju — rzekł zupełnie spokojnie — a, jak pani wiesz, jesteś pani przecie moją kochanką. Pocóż więc te formalności? Czy może drugi kochanek pani, hrabia Pardua, każe się również naprzód uroczyście meldować, jeśli ma ochotę z panią mówić?

Ilona potargała z wściekłości wszystkie koronki swojego szlafroczka na drobne strzępy i zaczęła aż zgrzytać zębami. Gniew opanował ją tak, że zdawało jej się, iż się udusi, albo też będzie zmuszona krzyczeć na cały głos.

— Czego ty właściwie chcesz? — wybuchła nagle, ale opamiętała się i dodała zaraz: — Więc nie masz dla mnie najmniejszych względów? A gdyby tak teraz wszedł tu jaki służący?

— Najdroższa Ilono — odparł — radzę pani być ze mną grzeczną, bo ja tu mam coś dla pani w kieszeni. Gdyby pani wiedziała, co to jest, zaraz by pani inne oczy zrobiła.

— Tajemnice schowaj dla siebie, a teraz wyjdź z pokoju!

Marceli, zamiast odpowiedzi, wyjął z kieszeni list, ale nie pozwolił jej przeczytać adresu.

— Gdybym ten list odesłał -- rzekł z uśmiechem — to los pani za parę godzin byłby rozstrzygnięty. Wpakowanoby panią zaraz do kryminału!

— Łotrze! — syknęła Ilona, ale w tej chwili opanował ją dziwny lęk. A może rzeczywiście zaszło coś takiego, co jej mogło okropnie zaszkodzić?

— Więc pani nie jest nawet na tyle ciekawą, że się pani nie pyta, kto ten list pisał? — rzekł Marceli — No, dobrze, w takim razie ja to pani powiem: Erna, hrabina Pardua oddała mi dziś w nocy ten list, abym go zaraz zaniósł na pocztę.

— Cóż mnie to obchodzi? — odparła niedbale.

— O, bardzo nawet! Bo list dotyczy w całości pani tylko.

— Mnie? — wyrwało się jej z ust, a na twarzy odmalowała się znowu trwoga.

— Tak jest. Naprzykład napisano tam, że hrabina Erna widziała panią razem z jej mężem w buduarze pani.

— To nieprawda! — wybuchła Ilona.

— A jednak prawda, moja droga; widziała hrabiego Pardue dzisiaj w nocy w buduarze pani.

— Jakże mogła widzieć? Nie bądź śmiesznym, Marceli. Chodzi ci pewnie o wymuszenie na mnie pieniędzy!

Jednak głos jej nie brzmiał tak pewnie, jak jej się zdawało, i jak ona chciała.

— Z palca sobie tego nie wyssałem, a marzyć nie lubię. Pani Erna pisze jeszcze, że chce się rozwieść z mężem. Prosi swego przyjaciela, aby jak najprędzej tu przyszedł, i poradził jej, co ma zrobić, ale aby równocześnie przyprowadził z sobą detektywa. Teraz właśnie, przechodząc koło buduaru hrabiny Erny, słyszałem dokładnie, jak hrabia Pardua, srodze zagniewany, żądał od żony wymienienia denuncyanta, który pięknej Ernie zdradził stosunek hrabiego z panią.

Ilona zbladła, jak ściana. Czuła, że się jej ziemia z pod nóg usuwa, szepnęła więc po chwili: ?

— Do kogo list zaadresowany?

— Do niejakiego doktora Stürmera. Może pani zna tego pana, który tu już raz miał być razem z detektywem na zamku. Ilonko — dodał szyderczo — Ilonko moja, ja na twojem miejscu bałbym się owego detektywa, pani ma przecie do tego powody!

Wpatrzyła się w niego, jak w jakie widmo szatańskie.

— List ten nie może dojść do rąk adresata — syknęła.

— Proszę bardzo — odparł Marceli ironicznie — może pani zechce temu przeszkodzić?

— Tak, ja — odparła, drżąc ze wzruszenia, podczas, gdy na twarz jej wystąpiły nagle czerwone plamy.

— Na wszelki wypadek list ten musisz mi oddać.

— A jeśli ja nie zechcę? — szydził. — Palce jej drżały, kiedy wyciągła rękę, aby mu list wyrwać.

— Muszę go mieć! — syknęła.

— Muszę — to nic nie znaczy. Muszę — to jest frazes. Jeśli mnie się nie będzie podobało, to go pani mieć nie będzie.

— Daj mi go, Marceli, będę ci zań serdecznie wdzięczna — aż do grobowej deski!

— No, no, ja się już znam na pani — mówił stangret. — Ale, żeby pani widziała, że ja zawsze trzymam stronę pani i nie jestem barbarzyńca, nie, zanadto jestem Francuzem i zanadto, jako Francuz, uprzejmym dla dam, więc pani dam ten list, ale naturalnie nie za darmo. Za darmo ma człowiek tylko śmierć, a i to nie zawsze.

— Przestańże, na miłość Boską, dowcipkować — zawołała, a nerwowe drgawki ściągać poczęły jej twarz. — Powiedz, czego chcesz za ten list, dostaniesz wszystko, ale, na Boga, daj mi go raz już!

— Ślicznie, dam go pani za pięć tysięcy marek!

— Czyś ty oszalał, Marceli? Skądże ja ci wezmę taką sumę?

— To nie moja rzecz — odparł lakonicznie.

— Mam do rozporządzenia dwa tysiące marek, ale pod warunkiem, że list ten oddasz mi w tej chwili do ręki, albo go w moich oczach spalisz na kominku.

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem — odparł z ironiczną uprzejmością — ale naprzód proszę o pieniądze.

— Dwa tysiące marek! — rzekła.

— Jeśli to są ostatnie słowa pani — mnie na tem nic nie zależy — to ja natychmiast list ten zaniosę na pocztę — i zwrócił się ku drzwiom, chcąc wyjść.

Wstrzymała go przemocą Ilona. Stangret, zobaczywszy jej strach i rozdenerwowanie, zaczął się śmiać. Ten śmiech właśnie, na jego obliczu rozlany, przyprowadzał ją do szaleństwa.

— Pomyśl przecie, skądże ja mam tak na poczekaniu wytrzasnąć pięć tysięcy marek. Weź dwa tysiące, to ci przecie powinno wystarczyć.

— Dobrze, w takim razie proszę mi dać weksel, a nawet nie weksel, jeno kwit, z oświadczeniem, kiedy mi pani wypłaci resztę, to jest trzy tysiące marek — odparł zupełnie po kucharsku.

— Ależ dwa tysiące powinny ci zupełnie wystarczyć. Ja sama nie wiem, kiedy będę mogła mieć trzy tysiące.

— Tem gorzej dla pani — odparł spokojnie. — W takim razie ja muszę spełnić swój obowiązek.

Z temi słowy wyszedł, a Ilona nie miała już czasu go powstrzymać. Zrobiła taki ruch, jakby chciała biedz za nim, pobiegła też ku drzwiom, rozwarła je, ale Marcelego już nie było na korytarzu.

— Co to za łotr! — zawołała, załamując ręce. — On mnie do szaleństwa doprowadzi!

Nie wiedziała w tej chwili jeszcze, co ma zrobić, by list nie doszedł do rąk adresata, ale zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że absolutnie dojść go nie powinien. Egzystencya jej i hrabiego Pardue byłaby przez to poprostu zniweczoną. Naraz, jakby jej jakaś myśl przyszła do głowy, zerwała się i pobiegła do swego buduaru. Przez chwilę stała, jakby jeszcze niezdecydowana, potem wyjęła z szuflady flakonik, obejrzała go, namoczyła chusteczkę znajdującym się w niej płynem i schowała ją pod poduszkę na łóżku. Roześmiała się — widocznie powzięła jakiś nowy, cudowny plan — i pocisnęła guzik elektrycznego dzwonka. Za chwilę weszła służąca.

— Powiedz stangretowi, Marcelemu, aby tu do mnie przyszedł zaraz. Idź go poszukaj, bo go zaraz potrzebuję — ozwała się Ilona.

Służąca wyszła.

Ilona teraz podeszła do lustra, poprawiła fryzurę, uśmiechnęła się sama do siebie i nagle zrzuciwszy suknie, została tylko w bieliźnie.

— Wpadniesz wreszcie w moją sieć łotrzyku! — szepnęła. — Piękność moja cię zdławi!

I rzuciła się niedbale na łóżko. Wyglądała wtedy iście jak szatańska pokusa, jak uosobienie piękna i czarującego wdzięku, którym podbić musiała każdego choćby nawet najzimniejszego człowieka.

Kiedy tak leżała, pojąc się własną pięknością, usłyszała naraz lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę, proszę!

Do pokoju wszedł Marceli. Na twarzy jego błąkał się dumny, szyderczy uśmiech. Ale kiedy zamknął drzwi za sobą i spojrzał na Ilonę, stanął jak wryty. Oczy rozszerzyły mu się niemem zdziwieniem, pierś się podnosiła, a krew zaczęła się w nim burzyć, tak, że drżał cały.

— Zamknij drzwi, Marceli, bo nie chcę, żeby mnie kto widział z tobą nieubraną, a gorąco takie, że mi się już ubierać nie chce.

Usłuchał i znowu stanął bezradny, nie wiedząc, co począć. Oczyma wpił się poprostu w przepiękne ciało Ilony, kuszące wzrok i zmysły wprawiające w wzburzenie.

— Pójdź bliżej — ozwała się Ilona pieszczotliwym głosem.

Teraz obudziła się w stangrecie stłumiona chwilowo zwierzęcość. Jak żbik rzucił się ku niej i objął ramieniem, ale odepchnęła go tak silnie, że odpadł aż od łóżka.

— Wstrzymaj się jeszcze, Marceli. Za kogóż ty mnie masz?

— Nie opieraj się długo, Ilono, bo oszaleję chyba! Jesteś moją kochanką i mam do ciebie takie samo prawo, jak hrabia Pardua. Ale nie drażnij mnie teraz, bo nie ręczę za siebie!

— Czegóż ty chcesz odemnie?

— Ty wiesz czego! Zresztą zmądrzałaś już na tyle, że sama mnie zawezwałaś!

— Więc co?

— Pieszczot chcę twoich i uścisków — syczał, drżąc na całem ciele i podszedł znowu ku niej, ale wstrzymała go ruchem ręki.

— Podobam ci się? — spytała, mierząc go powłóczystem spojrzeniem.

— Ilono!

— Piękną jestem, co?

— Ilono, bo zwaryuję — i chciał ją znowu chwycić w ramiona.

— Tak — rzekła leniwie — odemnie żądasz uścisków i pieszczot, a ty dla mnie nic zrobić nie chcesz. Nie jestem warta, czyż moja piękność, moje pieszczoty nie są większej ceny, aniżeli pieniądze?

— Uściśnij mnie, a zrobię dla ciebie wszystko!

— Wszystko zrobisz? A ja cię jeno o jedno poproszę.

— Mów!

— Oddaj mi list hrabiny!

Stangret aż się cofnął na te słowa. Piękność Ilony odurzyła go do tego stopnia, że zapomniał o liście, chociaż wiedział, że po nic innego go nie wołała.

— List? — wybełkotał — sprytna jesteś Ilonko, chciałaś go mieć odemnie za darmo. Hoho! Owszem, dam ci list, ale jeżeli dostanę zaraz pieniądze!

— Pieniądze?

— Tak jest, najdroższa. Wdziękami twymi musisz się i tak dzielić ze mną, bo się pisemnie do tego zobowiązałaś. Ale za list muszę otrzymać gotówkę.

— A jeśli ja ci przyrzeknę, że cię będę bardzo kochać za tę przysługę, jeśli ci pieszczoty przyrzeknę, o jakich nie marzyłeś?

— Tego mi nie potrzebujesz przyrzekać na nowo, bo się zobowiązałaś.

— Zbliż się Marceli, powiem ci coś na ucho.

Zbliżył się i pochylił nad nią Owionął go żar jej życiem bijącego ciała, owionęła odurzająca woń włosów Zapomniał o całym świecie; jak oszołomiony wyciągnął ręce, objął ją całą i trzymał tak w zwierzęcym uścisku, zamknąwszy oczy, a usta przywarłszy do jej szyi. Nie zauważył wcale, że Ilona szybkim ruchem ręki wyjęła z pod poduszki chusteczkę koronkową i przytknęła mu ją pod nos prawie, a równocześnie przycisnęła się doń tak czule, że Marceli prawie mdlał z rozkoszy. Ale naraz – cóż się stało? Uścisk jego osłabł, ramiona, jakby stężały. osunął się prawie omdlały i głowę zanurzył w poduszce. Ilona skorzystała z tego, dobywszy ostatnich sił wyprężyła się i uwolniła z jego objęć, poczem gwałtownie wcisła mu głowę w poduszkę, na której znajdowała się owym dziwnym płynem nasycona chusteczka.

Marceli jakby omdlony nie mógł podnieść głowy. Ilona, pewna już zwycięstwa, odwróciła mu twarz; chusteczkę wepchnęła mu w usta, poczem z tryumfującym uśmiechem stanęła i czekała, aż jej ofiara skona. Po pokoju rozeszła się tymczasem ostra, zabójcza woń chloroformu.

Szatańska kobieta przeszła się teraz parę razy po pokoju, zacierając ręce i szepcząc radośnie:

— Zemściłam się! Uwolniłam się wreszcie od tej żmii!

Powoli zaczęła się ubierać, a kiedy już była gotową, zbliżyła się do Marcelego, który leżał, jak kłoda na łóżku i zaczęła mu przeszukiwać kieszenie. W zanadrzu nareszcie znalazła list. Ręce jej drżały, kiedy rozdzierała kopertę, oczy błyszczały radością.

Ale w miarę czytania twarz jej sępiła się coraz bardziej, płomień ócz gasł. Skończywszy, zacisnęła pięści i zamyśliła się na chwilę.

Widocznie jakiś szatański plan dojrzewał w jej umyśle, bo na twarz wystąpiły jej czerwone plamy, a na czole nabrzmiały błękitne, niby sieci pajęcze, delikatne żyłki.

— Przynajmniej jeszcze nie zapóźno! — ozwała się sama do siebie. — Jeszcze od tej blednicy się uwolnię, a potem zaczniemy z Robertem nowe życie.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Żywcem pogrzebana.

Powróćmy do buduaru hrabiny Erny.

Hrabia pochylił się nad nią i w pierwszej chwili sam był przekonany, że wątła ta kobieta rzeczywiście umarła z przestrachu. Znane są przecie wypadki, że nagły strach i wzruszenie sprawiały niejednokrotnie śmierć człowieka.

Jak oszołomiony zaczął dzwonić na służbę a kiedy do buduaru weszła pokojówka i zdziwionym wzrokiem wpatrzyła się w nieprzytomną Ernę, leżącą bez życia na ziemi, hrabia kazał jej pomódz na gwałt hrabinie, mówiąc, że nagle, w czasie rozmowy zemdlała.

Sam zas wyszedł z pokoju, bo nie był już w stanie zachować pozorów spokoju, jak przystało na arystokratycznego kawalera i poprostu pędem pobiegł do jadalnego pokoju, aby się tam rozmówić z Iloną.

Nie zastawszy jej, wypadł na korytarz, wrócił znowu i rzucił się na otomankę. Odchodził wprost od zmysłów. Oszalał poprostu; zerwał się i nie mając na kim wywrzeć swej wściekłości, porwał drogocenną wazę, stojącą na kominku i cisnął ją na ziemię, że się w drobne rozbiła kawałki.

Wreszcie podszedł do okna, otworzył je i całą piersią zaczerpnął powietrza, bo zdawało mu się, że się chyba udusi w tym pokoju.

— — — — — — — — — — —

Erna musiała przez kilka dni leżeć w łóżku. Wzruszenie i cierpienia, jakie jej duszę w ostatnich dniach dręczyły, nadszarpnęły jej zdrowie do tego stopnia i osłabiły ją tak, że się ledwo na nogach utrzymać mogła.

Pokojówce zakazała wzywać lekarza, tak samo nakazała jej, aby nie wpuszczała absolutnie nikogo, ktoby się chciał dowiedzieć o jej zdrowiu.

A kiedy pokojówka doniosła jej, że hrabia codziennie pytał się o nią, na jej bladej, anielskiej twarzyczce ukazały się płomienne rumieńce.

Nie wyobrażała sobie nigdy, że Robert mógł być na tyle bezczelny. Postanowiła tedy stanowczo z nim się rozwieść, bo jego zachowanie się napełniało ją niepokonanym wstrętem.

Pewnego dnia, kiedy Erna siedziała przy oknie i apatycznie wyglądała na pole, zjawiła się nagle na progu pokojówka Minna.

— List do jaśnie pani!

Erna wyciągła zaraz skwapliwie swą drobną, sinemi żyłkami posiatkowaną dłoń.

Z niecierpliwością czekała, kiedy pokojówka nareszcie wyjdzie z pokoju, poczem spiesznie rozdarła kopertę.

Wiedziała, że to był list od doktora Stürmera, którego prosiła o pomoc i radę. Zaczęła czytać:

„Czcigodna pani hrabino!

Wybaczy pani, że nie będę pisał, z jakiem uczuciem czytałem list pani. Jedno tylko powiem, że pani szczerze i serdecznie żałuję. I jeżeli moje słabe siły mogą się na co przydać, aby pani pomóc, to niech pani będzie przekonana, że zrobię to ze szczerą radością, z całego serca.

Jednak pod żadnym warunkiem nie chciałbym wchodzić do zamku, bo chciałbym uniknąć spotkania się z mężem pani. Jeśli pani będzie łaskawą przyjść do parku, to może mnie pani spotkać w ruinach starej pustelni.

Gdyby się pani na to nie zgodziła, to niech pani będzie tak dobrą i da mi o tem znać W przeciwnym razie oczekuję pani o godzinie trzeciej po południu na wymienionem wyżej miejscu.

Z serdecznem pozdrowieniem
szczerze pani oddany
Adolf Stürmer“.

Przy czytaniu tego listu, blade jej policzki zapłoniły się; zdawało się chwilami, jakby słoneczny blask okrasił jej oblicze.

— Pójdę tam — szepnęła — wiedziałam, że on mi dopomoże!

Wstała. Miała wrażenie, że powróciły jej dawne siły, chód jej odzyskał nawet dawną miękkość i elastyczność.

Spojrzała na zegar, stojący na kominku i aż się przestraszyła. Była już godzina druga.

Jakże łatwo list mógł się spóźnić! A w takim razie Stürmer byłby napróżno na nią czekał. Wzdrygnęła się na samą myśl o tem.

Zarzuciła na siebie pelerynkę poprawiła przed lustrem włosy, jasną grzywką spływające na jej białe czoło, ale kiedy się w swój obraz wpatrzyła, zdumiała się.

Nie przeglądała się w lustrze już dawno, nic też dziwnego, że sama aż się przelękła, zobaczywszy obcą jakąś twarz, bladą, z ciemno podkrążonemi oczyma.

Jakżeż się jednak w ciągu tych kilku dni zmieniła!

— Wątpię, czy mnie Adolf pozna — szepnęła.

Włożyła na głowę maleńką czapeczkę, na ręce wciągła rękawiczki i wyszła z pokoju.

Nie spotkała nikogo i obróciła się raz jeszcze, aby zobaczyć, czy kto za nią nie idzie. Opanowało ją jakieś dziwne, niewytłómaczone uczucie lęku i bojaźni. Stary zamek, który dawniej tak bardzo kochała, był dla niej teraz miejscem nieznośnem; nienawidziła go i prawie pragnęła w tej chwili nigdy już doń nie powracać.



....Erna wypadła mu z rąk i osunęła się, jak martwa na fotel.

Szła długą aleją, ocienioną staremi lipami, które się już kwieciem zaczynały pokrywać Z pośród bujnego kobierca zielonych traw wyglądały tu i ówdzie jak główki małe, stokrótki i pierwiosnki, rozchylały kielichy pękowia małe jaskry, pojąc się miluchnem tchnieniem wiatru, który owiewał włosy Erny i twarz jej gładził pieszczotliwą dłonią.

Małe, białe chmurki, niby stado srebnoskrzydłych łabędzi, rozsiadło się na czystym niebios firmamencie. Był to jeden z tych przecudnych dni wiosennych, w których przyroda zdaje się uśmiechać do słońca, a pierś ludzka szybciej się podnosi, chłonąc tę błogą świadomość, że zima już minęła, że minął już i znikł martwy spokój, a nastała pełnia budzącego się do słońca życia.

Zmuszała się prawie, żeby iść powoli. Z jednej strony pędziła ją chęć obaczenia tego człowieka, ku któremu po raz pierwszy zabiło jej dziewicze serce, z drugiej strony pragnęła uniknąć drażniącego nerwy czekania. A gdyby się spieszyła, musiałaby na Stürmera czekać jeszcze z jakie dobre pół godziny. Doszła do ruin pustelni kilka minut po pół do trzeciej. Rozglądnęła się, ale nie zobaczyła nikogo. Naturalnie, do oznaczonej pory brakowało jeszcze blisko pół godziny.

Obeszła więc ruiny, stojące na małym pagórku i spojrzała w dolinę, jaka się rozciągała u jej stóp. Tęskny wzrok zapuściła na te zieleniejące w promieniach słońca łąki, na te sady okwiecone, wśród których widniały domki wieśniaków i tak jej jakoś ciepło zrobiło się na sercu.

Tuż ponad jej głową przeleciał skowronek i zaświegotał słoneczną swą pieśń. Jasne te dźwięki wzbudziły w jej duszy smutne myśli. Zamyślona wpatrzyła się w wieśniacze chaty, w których, pomimo nędzy, przebywało zawsze szczęście. I ujrzała, jak z jednej chaty wyszła młoda kobieta, niosąc na ręku malca; koło niej uwijało się dwoje większych, wesoło uśmiechniętych dzieci. Podniosła malca do góry, zaczęła go ściskać i całować, że dziecina aż krzyczała z radości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Koniec afery Dreyfusa.

Francuski trybunał kasacyjny wydał w ubiegłym tygodniu ostateczny wyrok w głośnej aferze Dreyfusa. Wyrokiem tym został były więzień „Dyabelskiej wyspy“ zupełnie rehabilitowany. W ciągu kilku ostatnich lat rozwiało się mnóstwo dowodów z winy Dreyfusa, a nadto wyszły na jaw niezliczone nieformalności z poprzednich procesów, tak dalece, że wyrok uniewinniający stał się prawie koniecznym.

Afera Dreyfusa, która swego czasu tyle hałasu narobiła w świecie, obfitowała w mnóstwo momentów nadzwyczajnie ciekawych. Przypominamy je tutaj w skróceniu.

Dnia 15 października 1894 otrzymał major Forzinetti, komendant więzienia wojskowego w Paryżu, tajne pismo od ministra wojny generała Merciera, w którem go zawiadomił, że przez jednego z wyższych oficerów przyśle mu na drugi dzień ważną tajną wiadomość. Dnia 15 października rano zjawił się ów oczekiwany oficer i wręczył mu pisemne zawiadomienie, że w dniu tym zostanie zamknięty, przydzielony do generalnego sztabu kapitan artyleryi Alfred Dreyfus. Po południu przyszedł Dreyfus, w ubraniu cywilnem, przyprowadzony przez majora Henry'ego i jednego policyjnego urzędnika.

Dnia 19 października zaczął się proces Dreyfusa. Obrońcą oskarżonego był Demange. Dreyfus był oskarżony o zdradę stanu. Jedynym dowodem jego winy był znaleziony w jego gabinecie spis rozmaitych tajnych dokumentów wojskowych. Po przeprowadzeniu rozprawy skazano Dreyfusa na degradacyę, a za szpiegostwo i zdradę „tajemnic wojskowych obcemu mocarstwu ukarano go dożywotniem więzieniem na „Dyabelskiej wyspie“. Dnia 3 stycznia przeprowadzono go do więzienia de la Santé, 4 stycznia zaś zdegradowano.



Oficerski klub szermierzy w Krakowie: Siedzą od lewej ku prawej: kapitan I. Bigak, pułkownik A. Klaar (przewodniczący), nadporucznik E. Rensl; stoją od lewej ku prawej: nadporucznik A. Starke, podoficer J. Heider, fechtmistrz wojskowy E. Linemann, inżynier A. Hoffmann.

Dnia 17 stycznia 1895 wywieziono Dreyfusa z Paryża na wyspę Dyabelską, dokąd więzień przybył dnia 21 marca. Internowano go tam w małym domku, z którego mu nie wolno było wychodzić. Strażnikom zakazano odzywać się do niego.

Tak minęły dwa lata. Naraz w październiku 1897 przyszła z Paryża wiadomość, że wiceprezydent francuskiego senatu Scheurer-Kestner znalazł pewne dowody, że Dreyfus jest niewinny. Zaczęły teraz coraz częściej wychodzić na jaw różne niespodzianki. Tak samo porucznik Picquart znalazł pewne dowody niewinności więźnia z Dyabelskiej wyspy. Obrońca Dreyfusa, Demange, dowiedział się od swego przyjaciela Sallesa, że sądowi wojennemu przedłożono dowód, którego ani on, ani oskarżony nie widział, a Picquart rozpoznał, czyją ręką pisane było bordero, czyli ów spis tajnych dokumentów.

Dnia 16 listopada opublikował Mateusz Dreyfus, brat więźnia, list do ministra sprawiedliwości, w którym oświadczył, że zdrajca, który pisał bordero, na podstawie czego Alfred Dreyfus został skazany, nazywa się Welsin-Esterhazy. Dnia 4 grudnia nakazał generalny komendant Paryża, generał Saussier, aby przeciw Esterhazyemu wszcząć śledztwo.

Dnia 11 i 12 stycznia 1898 odbywał się dwudniowy proces, w którym Esterhazy został jednogłośnie uwolniony. Śledztwo przeciw niemu prowadził



Koniec afery Dreyfusa: Fotografie wszystkich osobistości, które odegrały najwybitniejsze role w rozwoju słynnej sprawy francuskiego kapitana Dreyfusa.

osobiście generał Pellieux. Jako odpowiedź na to uwolnienie, ogłosił 13 stycznia znakomity powieściopisarz francuski, Emil Zola, słynny swój list otwarty do prezydenta republiki. Za list ten wytoczono Zoli proces, który trwał od 7 do 24 lutego, proces nadzwyczajnie sensacyjny, którego przebieg śledził cały świat z naprężeniem, a który zakończył się skazaniem Zoli na rok więzienia i karę w kwocie 3 000 franków. Trybunał kasacyjny zniósł ten wyrok i kazał raz jeszcze przeprowadzić rozprawę, tym razem przed trybunałem przysięgłych w Wersalu.

Dnia 30 sierpnia nastąpiło nagle aresztowanie porucznika Henry'ego, który się przyznał, że on własną ręką fałszował papiery. Po tem zeznaniu Henry sam sobie życie odebrał. W październiku 1898 roku przedsięwziął trybunał kasacyjny rewizyę procesu Dreyfusa. Pierwszy wyrok został zniesiony, a 3 stycznia 1899 przekazano rewizyę procesu sądowi wojennemu w Rennes.

Od 7 sierpnia do 10 września trwał proces, który zakończył się ponownem zasądzeniem Dreyfusa na dziesięć lat więzienia. W całej Francyi powstała z tej przyczyny istna burza, wobec czego prezydent republiki 21 września Dreyfusa ułaskawił.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Rozwiązanie Dumy: Chłop z głębi Rosyi, który trzy miesiące szedł pieszo do Petersburga, ażeby osobiście przedstawić posłom w Dumie niedolę swojej wsi rodzinnej



Goremykin, prezydent ministrów w Rosyi, którego ustąpienia bez skutku domagała się tak długo Duma, a który po jej rozwiązaniu otrzymał teraz dymisyę.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Rozwiązanie Dumy: Włościanin Dubin z pod Kamieńca Podolskiego, który przyszedł do Petersburga kontrolować działalność posłów ze swych okolic.



Fotografował umyślnie dla „Nowości Illustrowanych" A. Drankow w Petersburgu.

Rozwiązanie Dumy: Klub autonomistów w Dumie państwowej w Petersburgu: Walicki, Chrułajtis, Parczewski, biskup baron Ropp, Szrag, Lednicki (prezes), Harusiewicz, Achtjamow, Topczybaszew, Dźanturin, Sangajło, Czakste, Kubilis, Syrtłanow, Wiazłow, hr. Grocholski, Sedelnikow, Ter-Petrosjanc, Paderewski, Massonius, Szelhorn, Witkowski, Hernius, dr. Bogaturow, Babicz, ks. Baratow, Hurland (sekretarz), Hejdawani, Chan-Ziatchan, Ałtenaj Kałmentjew.



Admirał Czuchnin, naczelny wódz floty Czarnomorskiej, który został zamordowany przed tygodniem w Sebastopolu.

W ciągu 6 lat, jakie od tego czasu już przeszły, afera Dreyfusa nie poszła w zapomnienie. Ciągle jeszcze zajmowała ona umysły polityków pewnej grupy we Francyi. Ostatecznie minister wojny Andre zarządził w tej sprawie w ministeryum wojny raz jeszcze ścisłe śledztwo, które dostarczyło takiego materyału, iż minister sprawied. Valleé w gabinecie Combesa postawił wniosek o jeszcze jednę rewizyę procesu.

Dnia 15 czerwca br. zebrały się wreszcie wszystkie senaty trybunału kasacyjnego, a 12 lipca ogłoszono wyrok uniewinniający Dreyfusa w zupełności. Na podstawie rehabilitacyi mianowano byłego więźnia z „Dyabelskiej wyspy“ majorem, a w sobotę wręczono mu krzyż legii honorowej na tem samem podwórzu i w tem samem miejscu w którem go przed laty 10 zdegradowano.

Nareszcie więc ta afera, która tyle czasu zajmowała cały świat, skończyła się uniewinnieniem i zupełną rehabilitacyą Dreyfusa.

Na załączonej dziś illustracyi podajemy Czytelnikom zbiorową fotografię wszystkich ważniejszych osobistości, jakie występowały w ciągu tej 10 przeszło lat trwającej afery.

Rozwiązanie Dumy.

Pierwszy parlament rosyjski skończył swój żywot po 70 zaledwie dniach istnienia. W niedzielę bowiem rano ukazał się manifest cesarski, rozwiązujący Dumę.

Bezpośrednią przyczyną rozwiązania Dumy była uchwała, powzięta na jednem z posiedzeń w ubiegłym tygodniu, aby odwołać się wprost do narodu w formie komunikatów czy też manifestu, który byłby zarazem odpowiedzią Dumy na znane enuncyacye rządu w sprawie agrarnej, wydane dnia 29 z. m.

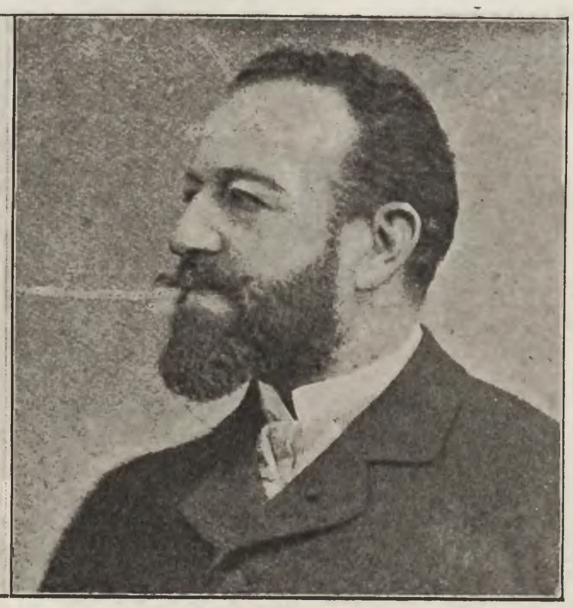
Historya tego komunikatu jest następująca: Po ogłoszeniu deklaracyi rządowej, Duma na posiedzeniu z dnia 1 lipca, poleciła komisyi agrarnej opracowanie projektu na deklaracyę rządu. Agrarna komisya wybrała w tym celu podkomisyę, złożoną z pięciu posłów, z tych czterech kadetów i jednego trudowika, która na posiedzeniu komisyi w dniu 16 bm. przedłożyła jej już wypracowany projekt. Imieniem „grupy pracy“ zgłosił na temsamem posiedzeniu poseł Aładin osobny projekt, znacznie bardziej radykalny od projektu subkomisyi. Nad oboma tymi projektami odbyła się dnia 16 bm. ożywiona dyskusya w komisyi agrarnej. Projekt Aładina znalazł u znacznej liczby posłów wysokie uznanie, dzięki swej jędrności i lapidarności. Po dwugodzinnej dyskusyi komisya wybrała znowu subkomisyę, w celu natychmiastowego skoordynowania obu projektów komunikatu, a mianowicie projektu pierwszej subkomisyi i projektu Aładina, Nowa subkomisya załatwiła się szybko z tą sprawą i już 17 bm. przyszła na plenum komisyi agrarnej z nowym projektem. Po stosunkowo krótkiej, ale bardzo poważnej dyskusyi, projekt ten przyjęto i na drugi dzień przedłożono plenum Dumy.

W Dumie zaczęła się znowu nadzwyczajnie ożywiona dyskusya. Partye bar-



Następca Goremykina: Piotr Arkadjewicz Stołypin, nowy minister spraw wewn. w Rosyi, który został w tych dniach prezydentem gabinetu po dymisyi Goremykina.





Zabity przez pomyłkę:

Gen. **Trepow**, komendant pałacu w Peterhofie, na którego osobie chciał spełnić zamach zabójca gen. Kozłowa.

Gen. **Kozłow**, nieco podobny do gen. Trepowa, skutkiem czego przez pomyłkę padł ofiarą zamachu.



Fotografował umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ A. Drankow w Petersburgu.

Rozwiązanie Dumy: Polscy posłowie w Dumie państwowej w Petersburgu w towarzystwie korespondentów parlamentarnych do dzienników warszawskich: W pierwszym rzędzie na samym dole (zawsze licząc od lewej ku prawej stronie) posłowie: Nakonieczny, ks. Drucki-Lubecki, Błyskosz i M. Żukowski, za nimi siedzą ks. Fulman, ks. Gralewski, A. Parczewski, ks. biskup Ropp, prof. Petrażycki, dr. Haruszkiewicz, Czesław Jankowski. Za nimi pp Jaroński, hr. Grocholski, Stecki, Włodek (korespondent „Kuryera Warszawskiego), Kondratowicz, pani Seewald (korespondentka „Kuryera Porannego“), Chrystowski, dr. Rząd, Franciszek Nowodworski, ks. Songajło, Dworzaczek (korespondent „Dziennika Kijowskiego) Za nimi: pp. Jaroński, Janczewski, Waligórski, Kiniorski, Świeżyński, Massonius, hr Tyszkiewicz, Onyszczyński, Lubański, prof. Szerszeniewicz, Szachno, hr. Jan Potocki, Grabski, Żaleski, dr. Malawski, p. Florkowski, Poniatowski, Grabiański, Suchorzewski. Wreszcie w ostatnim rzędzie pp.: Sadzewicz (korespondent „Gazety Polskiej“), Walicki, Wigura, Gotowiecki i Kosiakiewicz (korespondent „Słowa“).

dziej radykalne nie były wówczas zadowolone z owego projektu, kadeci zaś, zmiarkowawszy, że bądź co bądź jest to enuncyacya ogromnej wagi i niejako wypowiedzenie wojny rządowi, domagali się skreślenia wszystkich bardziej radykalnych ustępów komunikatu. Dyskusya trwała cztery dni, ostatecznie przyjęto komunikat według projektu posła Petrunkiewicza, treści nie tyle już umiarkowanej, ile wprost mdłej. Komunikat stracił bowiem charakter apelu do narodu, a był tylko krytyką deklaracyi rządu w sprawie agrarnej.



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Marya Pilarz-Mokrzycka.

Tymczasem w chwili, kiedy w pałacu Taurydzkim Duma obradowała nad tekstem komunikatu, w Peterhofie toczyły się obrady nad rozwiązaniem Dumy. Widocznie rząd zdecydował się już po uchwaleniu odwołania się Dumy do narodu, powziąć stanowczą myśl rozwiązanie młodego parlamentu. Nie chciał jednakże ogłaszać tego zawczasu, ale zaczął się przygotowywać, aby na wszelki wypadek być gotowym. Do Petersburga sprowadzono mnóstwo wojska i ostatecznie w niedzielę rano ukazał się stosowny ukaz, jak twierdzą, od trzech dni już przygotowany.

Tak więc pierwszy parlament rosyjski przestał istnieć. Pałac Taurydzki otoczono wojskiem, zabroniono doń dostępu wszystkim. Kancelarya Dumy odesłała akta i stenogramy do Rady państwa. Te akta i setki arkuszy stenogramów są jedynym dzisiaj widocznym pomnikiem działalności krótko trwałego parlamentu rosyjskiego.

Opinia narodu była zupełnie na rozwiązanie Dumy przygotowaną. Wiedziano, że wcześniej czy później ukaz taki pojawić się musi, bo na trybunie parlamentarnej wygłaszano mowy, które rząd w najostrzejszych słowach krytykowały i co chwila domagały się dymisyi całego gabinetu. Prace tego parlamentu obracały się ciągle w sferze czysto teoretycznej. Możnaby Dumę nazwać parlamentem skarg, bo niczego się tam więcej nie słyszało, jeno ciągłe, ustawiczne oskarżanie rządu.

Nowy parlament ma się zebrać dopiero w marcu 1907 roku i wyjść z nowych wyborów.

Następca Goremykina.

Piotr Arkadiewicz Stołypin, obecny prezes gabinetu, a dotychczasowy minister spraw wewnętrznych w gabinecie Goremykina, uchodzi powszechnie za biurokratę dawnego stylu, aczkolwiek i dzienniki antyrządowe podają go za człowieka uczciwego i zwolennika ścisłej legalności. Studya prawnicze odbywał w Petersburgu, do służby rządowej wstąpił w r. 1884 w ministerstwie domen, poczem przydzielono go do ministerstwa spraw wewnętrznych. Stołypin posiada wielkie dobra w gubernii kowieńskiej i w roku 1888 przesiedlił się tam z Petersburga, aby osobiście zarządzać niemi, poczem został mianowany marszałkiem szlachty. Dz a-



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Czesław J. Muszyński.



Fotografował umyślnie dla „Nowości Illustrowanych" A. Drankow w Petersburgu.

Rozwiązanie Dumy: Prezydyum Dumy państwowej w Petersburgu. Siedzą od lewej ku prawej: ks. Szachowski (sekretarz), ks. Dołgorukow (wiceprezes), Muromcew (prezydent), Grodeskuł i Szapocznikow; za nimi stoją T. Kokoszkin, Szcz. Poniatowski, Szerszeniewicz i Bołkwadza (prezes biura prasy).



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Wybranowski ze Lwowa.
Akademia rolnicza w Dublanach: W 50 lat po założeniu: Grupa słuchaczów Akademii rolniczej dublańskiej z okazyi zamknięcia roku szkolnego.

łalność jego w Kowieńskiem zwróciła uwagę w sferach petersburskich, tak, że w r. 1902 został Stołypin mianowany gubernatorem grodzieńskim. Na stanowisku tem, zyskał sobie zwłaszcza sympatye ludności żydowskiej, o której, przemawiając pewnego razu w Grodnie, wyraził się przychylnie. W r. 1903 został gubernatorem saratowskim i na stanowisku tem pozostawał aż do maja br., kiedy otrzymał nominacyę na ministra spraw wewnętrznych.



Fotografował dla „Nowości Illustrowanych“ Wybranowski ze Lwowa.
Akademia rolnicza w Dublanach: Grono profesorów Akademii rolniczej w Dublanach: 1. Dyr. Juliusz Frommel, 2. dr. Mieczysław Kowalewski, 3. dr. Stefan Pawlik, 4. Profesor Józef Mikułowski-Pomorski, 5. Profesor Kazimierz Szulc, 6. dr. Kazimierz Miczyński, 7. dr Maryan Raciborski, 8. Profesor Kazimierz Aidukiewicz, 9. Profesor Jan Zaleski, 10. Profesor Malsburg.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie.

Nowością ubiegłego tygodnia muzycznego była „Panna Praczka“ Reimanna.

Zgrabna muzyczka, ożywiona akcya libretta i mnogość wesołych sytuacyj, dały sposobność całemu sympatycznemu personalowi lwowskiej operetki z ulubioną p. Miłowską na czele, do zaprodukowania zdolności śpiewaczych, dramatycznych,



Nowe ofiary bandytów: Śp. Hieronim Lewenstam, inżynier komunikacyi, zamordowany w tych dniach w kantorze własnym, w Alejach Jerozolimskich w Warszawie.

jak niemniej do dania folgi dowcipowi i szczeremu humorowi, bawiącemu wybornie słuchaczy, a trzymanemu zawsze w ryzach smaku i artystycznej miary. Ponadto powtórzono „Gejszę“ z p. Brzeską bardzo poprawną w partyi tutułowej.

Nowością operową natomiast były prześliczne „Opowieści Hoffmanna“ Offenbacha, rzecz niesłyszana w Krakowie od lat kilkunastu. Teatr wypełniła publiczność do ostatniego miejsca. Na czoło wykonawców, których wyborowe grono stanowiły takie siły, jak panie Colignon Szymańska, Miłowska, Markówna, tudzież panowie Malawski, Paszkowski, Bogucki itd. wysunęła się młoda, tudzież wysoce utalentowana i obiecująca artystka, p. Marya Pilarz Mokrzycka.

P. Mokrzycka jest przedewszystkiem wysoce muzykalną, tą muzykalnością, która rozbudzona i rozśpiewana, oddaje się niepodzielnie sztuce, względnie partyi i postaci, kreowanej przez nią w danej chwili, każąc jej zapomnieć zarówno o tremie, jak niemniej o wszystkich względach krępujących każdą kobietę-artystkę. Muzykalność ta daje młodej śpiewaczce szeroki rozmach, pozwalający odczuć w niej odrazu artystkę z ducha — artystkę, której świetna przyszłość znaczy się już dziś wyraźnie pewną i jasną linią. Głos piękny o miłym i ujmującym wdzięku, posiada miąższ, siłę, tudzież owe subtelne drgnienia i echa, które głosowi temu dają intuicyjnie światła; cienie, barwy i koloryt tam, gdzie tego wymaga uczucie i psychologia. Talentu aktorskiego i smaku w doborze i wnoszeniu kostyumu, nie poskąpiły nieba p. Mokrzyckiej, która stąpając na scenie, mimo krótkiej praktyki, swobodnie, jest jej prawdziwą ozdobą także i ze względu na aparycyę, tudzież ujmujący wdzięk postaci, jak niemniej ożywioną, ruchliwą a piękną twarzyczkę, na której jak w zwierciadle, odbijają się wyraziście uczucia i nastroje. Dzięki tym przymiotom, koła wielbicieli talentu p. Mokrzyckiej zataczają coraz szersze kręgi.

Z męskiej połowy personalu operowego, baczną uwagę zwrócił na siebie młody śpiewak, p Czesław Muszyński. Do opery lwowskiej przeniósł się ze scen niemieckich, gdzie szczycił się życzliwością, tudzież uznaniem zarówno muzykalnej publiczności, jakoteż prasy pozostającej, nie jak u nas, w ręku ludzi fachu i muzycznego wykształcenia. P. Muszyński dał się słyszeć na razie w Lohengrinie i w Pajacach. Wymogom obu partyj uczynił zadość w sposób wyróżniający go tembardziej, iż wielkim a wytrzymałym i podatnym do wyrażania uczuć głosem, włada pewnie i swobodnie w zakresie poważnych studyów u maestra America w Berlinie. Gra sceniczna obiecującego artysty, acz skrępowana jeszcze nieco tremą, pozwala dobrze wróżyć karyerze operowej, która, jeśli weźmiemy w rachubę młodość i szlachetne aspiracye artysty, powinna być niewątpliwie świetną.

— *urs.* —

Akademia rolnicza w Dublanach.

Kraj nasz jest w pierwszej linii rolniczym. Stąd też ogromne ma znaczenie dla jego rozwoju, dla jego przyszłości, racyonalna nauka rolnictwa. Wyższą szkołę rolniczą, akademię, posiada Galicya tylko jedną, w Dublanach pod Lwowem.



Nowe ofiary bandytów: Buchalter Maurycy Stambułka zamordowany w kantorze firmy „Lewenstam i Weller“ na Jerozolimskiej w Warszawie.

Wiele lat, dużo pracy i poświęceń jednostek i całego kraju składało się na to, czem są dziś Dublany. Założone w czasach i warunkach bardzo ciężkich, przez garstkę ludzi szczerze kraj kochających i rozumiejących prawdziwe jego potrzeby, przetrwały one chlubnie trudny okres rozwoju, podnosząc się zwolna, lecz stale. Następnie oddane w ręce kraju, zreorganizowane i uposażone odpowiednio, stały się źródłem fachowej wiedzy rolniczej w kraju i wychowują zastępy dzielnych rolników.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.

Zjazd Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie: Grupa uczestników Zjazdu w podwórzu gmachu Tow. pedagogicznego; w środku I. wiceprezes poseł Wojtyga oraz II. wiceprezes Jan Soleski, radny miasta Lwowa. (Do art. na str. 20).

Od założenia szkoły w Dublanach mija właśnie lat pięćdziesiąt. Mianowicie w r. 1853 zakupiło galicyjskie Tow. gospodarskie, którego prezesem był podówczas ks. Leon Sapieha, folwark Dublany pod Lwowem, a w trzy lata później, tj. 1856 urządziło w nim szkołę rolniczą. Mimo wielu, bardzo wielu braków, które były wynikiem ciężkich warunków, wśród jakich żyło całe społeczeństwo, szkoła dublańska nie małe w tym pierwszym okresie położyła zasługi i wdzięczność szczera należy się ludziom, których inicyatywa, wytrwałość i opieka, do życia ją powołały.



Bojownik idei demokratycznej: Zasłużony przywódca krakowskich demokratów, śp. Jan Rotter, dyrektor szkoły przemysłowej i radny miasta Krakowa, poseł na sejm krajowy i do Rady państwa.

Drugi okres rozwoju szkoły, pod rządami Wydziału krajowego, rozpoczął się z końcem 1877 r. Wydział krajowy przeprowadził jak najdokładniejszą reorganizacyę szkoły, podniósł jej poziom i dziś słusznie nią chlubić się może.

Wedle obecnej organizacyi akademii w Dublanach, celem jej jest kształcenie naukowe przyszłych właścicieli, dzierżawców i administratorów większych posiadłości ziemskich na samodzielnych gospodarzy wiejskich. Nauka trwa lat trzy, w sześciu półroczach. Wykłada się wszystkie nauki zasadnicze, zawodowe i pomocnicze, których znajomość do racyonalnego prowadzenia gospodarstwa wiejskiego jest potrzebną i pożyteczną. Wykłady uzupełniają demonstracye i ćwiczenia praktyczne w gospodarstwie dublańskiem, wycieczki do wzorowych gospodarstw, fabryk, stadnin, na wystawy, targi i tp., oraz prace w laboratoryach szkoły i konserwatorya. Jako środki naukowe dla wykładów i ćwiczeń służą: folwark dublański, pole doświadczalne, ogród botaniczny, pasieka, biblioteka i czytelnia, zbiory naukowe, laboratorya, stacye kontrolne botaniczne i chemiczne, wreszcie stacya meteorologiczna.

W połowie lipca skończył się w Dublanach rok szkolny. Fotograf ze Lwowa p. Wybranowski zrobił na miejscu szereg zdjęć fotograficznych, z których dwa, tj. grono nauczycielskie oraz grupę słuchaczów wszystkich lat reprodukujemy w dzisiejszym numerze.



Bojownik idei demokratycznej: Pogrzeb śp. posła Jana Rottera we wtorek w Krakowie; fragment konduktu żałobnego w ulicy Lubicz. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis).

Bojownik idei demokratycznej.

W nocy z soboty na niedzielę 22 bm. zmarł w Wiedniu poseł krakowski Jan Rotter, który od kilku już dni przebywał ciężkie zapalenie płuc, połączone z osłabieniem serca i silną gorączką. Przy łożu śmiertelnem bawiła cała rodzina i posłowie demokratyczni z Koła Polskiego, przedewszystkiem poseł Petelenz, z którym łączyły zmarłego zażyłe stosunki przyjaźni.

Na wieść o zgonie wybitnego parlamentarzysty, wysłali natychmiast telegramy kondolencyjne: prezydent ministrów bar. Beck, prezydent Izby poselskiej hr. Vetter i przewodniczący prawie wszystkich klubów parlamentarnych.

Do Krakowa przyszła żałobna wiadomość wczesnym rankiem w niedzielę. Ponieważ prezydent dr. Leo bawił właśnie w Zakopanem, a wiceprezydent Chyliński również wyjechał, odpowiednie zarządzenia poczynił drugi wiceprezydent Sare. Wysłano natychmiast obszerny telegram kondolencyjny do żony zmarłego, na ręce posła Petelenza oraz prezydyum Koła Polskiego na ręce prezesa Abrahamowicza i do marszałka krajowego hr. Badeniego, z zaproszeniem do wzięcia udziału w pogrzebie.

W pośle Rotterze straciło stronnictwo demokratyczne, najcharakterystyczniejszą postać, swego głównego szermierza i bojownika. Jakim był ś. p. poseł Rotter, można ocenić z ilości jego wrogów i z zaciekłości kampanii, jaką konserwatyści wszelkich odcieni przeciw niemu prowadzili. Można śmiało stwierdzić, że ś. p. Rotter był najbardziej przez galicyjskich konserwatystów znienawidzonym demokratą. Za tę nienawiść odpłacał im nieubłaganą, wytrwałą walką, a jego przemowy w radzie państwa, w sejmie i w radzie miejskiej skrzyły się dowcipem zjadliwym i druzgotały przeciwnika rzeczowymi argumentami.

Jako radny ś. p. Rotter w radzie miasta Krakowa zajął tak poważne i powszechnie znane stanowisko, że doprawdy imię swoje wprost związał z historyą Krakowa ostatnich lat piętnastu. Nie było niemal sprawy miasta, którąby się nie zajmował i której — jeżeli nie podejmował — to przodował i prowadził, a zawsze z tą myślą obywatela gorąco kochającego przeszłość narodową i ten stary Kraków, odczuwającego zarazem na wskróś nowe prądy czasu, nowe potrzeby bieżącego życia. Wybrany w dniu 17 lipca 1900 z kuryi inteligencyi, rozwinął w radzie miejskiej bardzo rozległą czynność, możnaby powiedzieć — inwestycyjną. Stary Kraków z niedomaganiami i zaniedbaniami na polu sanitarnem, komunikacyjnem, gospodarczem, przekształcić w miasto o nowożytnym charakterze, a w ten sposób dać mu podstawę do rozwoju wspaniałego na tle swej przepięknej, każdemu tak drogiej i starodawnej tradycyi — oto myśl, której wprowadzenie w czyn wydawało się ś. p. Rotterowi najprzedniejszem zadaniem Rady — w myśl tradycyi po Dietlu i Zyblikiewiczu i innych. Niepodobna w kilku słowach streścić różnorodnej, nadzwyczaj rozległej działalności ś. p. Rottera na polu gospodarczem m. Krakowa. Protokoły sekcyjne, komisyjne i pełnej Rady wystawiają tej zdumiewająco obfitej działalności wymowne świa-



Bojownik idei demokratycznej Pogrzeb śp. posła Jana Rottera we wtorek w Krakowie; fragment konduktu żałobnego w ulicy Lubicz. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis).

dectwo, niemniej koledzy z Rady, sekcyi i komisyi nietylko z uznaniem, ale i podziwem i czcią otaczają tę pracę. Pomnikiem tej działalności było doprowadzenie do skutku wodociągów w Krakowie.

Jako poseł miasta Krakowa zasłużył sobie w zupełności na powszechne uznanie. Wyszedłszy z krakowskich stosunków, względnie ciasnych, i stanąwszy na trybunie sejmowej, rozwinął odrazu skrzydła i okazał, że jest nie tylko posłem miasta Krakowa, nie tylko przedstawicielem zawodu technicznego, ale także i to przedewszystkiem posłem kraju, przedstawicielem szerokich warstw ludności, szermierzem haseł demokratycznych. W Sejmie krajowym stanął natychmiast w pierwszych szeregach, równie jako mowca wobec pełnej Izby, jakoteż jako sprawozdawca i uczestnik w pracach komisyjnych.

Działalność parlamentarna zmarłego, tak ważna dla kraju i dla miasta Krakowa, była wybitną nawet w porównaniu z działalnością najwybitniejszych parlamentarzystów. Gdy ś. p. Rotter w grudniu 1900 r. został postawiony jako kandydat na posła do Rady państwa, indywidualność jego już tak górowała nad przeciwnikami politycznymi, że pomimo bardzo silnej agitacyi ze strony przeciwnej, miała zapewnione zwycięstwo. A zwyciężył wtedy wraz z Rotterem program stronnictwa demokratycznego.

Na arenie parlamentu austryackiego wobec spraw, tyczących się państwa całego, zmarły, uznając potrzeby całości, nie zapominał nigdy o kraju, broniąc energicznie jego autonomii, która dla ś. p. Rottera była sprawą zasadniczą, a nie narzędziem w taktycznej walce parlamentarnej.

Na zakończenie obok portretu, kilka dat z życia tego człowieka, który dla idei demokratycznej pracował i walczył przez całe życie.

Śp. Jan Rotter, syn kolonisty niemieckiego, urodził się w roku 1850 w Szczercu pod Lwowem. Szkołę realną ukończył we Lwowie, politechnikę w Wiedniu, ze stopniem inżyniera. Następnie podróżował dłuższy czas za granicą. Po powrocie złożył egzamin profesorski dla szkoły realnej a w r. 1875 objął posadę suplenta w szkole realnej w Stanisławowie. W rok później mianowany został rzeczywistym nauczycielem, zaś w r. 1877 objął posadę profesora w szkole przemysłowej w Krakowie. Dyrektorem tej szkoły nominowany został w r. 1892. Życiem politycznem zajmował się jeszcze na ławach uniwersyteckich. W latach dziewięćdziesiątych, wysunął się na czoło stronnictwa demokratycznego. Do rady miejskiej Krakowa wybrany został w r. 1893, mandat poselski do Sejmu zdobył w r. 1895, opróżniony po Asnyku. Do parlamentu wszedł po raz pierwszy przed sześciu laty, t. j. w roku 1900.

Pogrzeb ś. p. Rottera, po przywiezieniu zwłok z Wiednia, odbył się w Krakowie we wtorek po południu na koszt miasta. Zamieszczamy obok fotografie z pogrzebu, który był wielką, a szczerą manifestacyą uczczenia zasług zmarłego.

Nowe ofiary bandytów.

Strasznej dokonano zbrodni w Alejach Jerozolimskich Nr. 6, w kantorze firmy Weller i Lewen stam w Warszawie.

Około godz. 3, gdy już personal kantorowy rozszedł się do domu, w lokalu został współwłaściciel firmy, inżynier Herman Lewenstam oraz buchalter p. Stambułka, celem obliczenia płacy dla robotników. Widocznie nie mieli drobnych, gdyż wyprawili woźnego kantorowego po zmianę 5 rub. Nagle sąsiedzi kantoru przerażeni zostali odgłosem kilku strzałów. Gdy wbiegli do środkowego pokoju, między biurkami leżeli bez ruchu inż. Lewenstam i p. Stambułka — obydwaj kąpiąc się w kałużach krwi. Wszelki ratunek był spóźniony — obaj bowiem już nie żyli. Inż. Lewenstam otrzymał ranę w piersi, kula przebiła portfel wraz ze znajdującemi się weń papierami i widocznie trafiła w serce, gdyż śmierć nastąpiła momentalnie. Stambułka ugodzony został w głowę.

W jaki sposób zbrodnia dokonaną została wobec momentalnej śmierci obu ofiar, stwierdzić nie można. Sądząc jednak z zeznań świadków, t. j. przechodniów ulicznych i sąsiadów, do kantoru weszło 3 bandytów, którzy zażądali najniewątpliwiej pieniędzy. Zapewne buchalter i inżynier musieli temu odmówić, a nawet przypuszczać należy, że buchalter skierował się do telefonu. Wtedy oderwali bandyci mikrofon. Ponieważ w kantorze kasy nie było nikogo, przypuszczać więc należy, że inż. Lewenstam, na widok wchodzących bandytów, schował pieniądze do kieszeni. Bandyci chcąc jednak wszelkim kosztem dojść do posiadania pieniędzy, wystrzałami położyli Lewenstama i Stambułkę trupem. Po dokonaniu swej zbrodni, na skutek głośnych strzałów, widocznie, nie mieli oni czasu do przeszukania trupów, gdyż już sąsiedzi biura zaczęli wchodzić na schody. Niewątpliwie, bandyta stojący na straży, zawiadomił swych kolegów o groźnem niebezpieczeństwie i ci zbiegli. Przechodnie uliczni widzieli trzech opryszków z bronią w ręku, uciekających w kierunku dworca kaliskiego.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

16 (Ciąg dalszy).

To też dziedziczka pozwoliła Wosinkowi wyprowadzić się z sanek aż do wnętrza domu. Drzwi nie były na klucz zamknięte, więc w jednej chwili znaleźli się z ganku w sieni, gdzie suche i łagodniejsze powietrze wielką ulgę przyniosło osłabionej kobiecie po szybkiej podróży na mrozie, wietrze i śniegu.

I tu było ciemno, jak wszędzie w całym domu, pogrążonym w nocnej ciszy. Nawet nigdzie pies nie zaszczekał na powitanie gości, ani też dzwonki u sani nie rozbudziły jeszcze nikogo z domowników.

— Zaraz — odezwał się Wosinek — ja im trzasnę z bicza przed gankiem, to się przecież ktoś obudzi — i wyszedł, zostawiając ją w sieni.

Dziwny lęk ją ogarnął, gdy się za nim drzwi zamknęły. Przeraziło ją skrzypienie schodów, któremi z ganku zbiegł Wosinek. Aż naraz krzyknęła, gdy rozległo się parokrotnie strzelanie z bata... Ale jednocześnie zadźwięczały gwałtownie dzwonki...

Ze zdumieniem i trwogą wzmagającą się z każdą sekundą, wsłuchiwała się w te dźwięki dzwonków u sani, które nie milkły, ale sprawiały wrażenie, jak gdyby oddalały się.... Co to miało znaczyć... Przecież nie podobna, żeby Wosinek nie poczekał, aż ktoś ze światłem wyjdzie na jej przyjęcie — tylko odjeżdżał z powrotem natychmiast... A jednak coraz wyraźniej poznawała, że na dziedzińcu nastała cisza niczem nieprzerywana, a tylko gdzieś w dali, z każdą chwilą słabsze i słabsze słychać było dzwonienie.

Cisza i ciemność, jakie ją tu w sieni ogarniały, zaczęły przejmować biedną kobietę taką trwogą bez miary, iż drżąc na całem ciele niby liść osiczyny, nie mogła się zdecydować na zrobienie jednego kroku wprzód ni w tył, a jednak coś parło ją ku drzwiom na ganek: uciekać chciała, uciekać za wszelką cenę.

Wtem za sobą szelest jakiś usłyszała i ze strachu aż w niej dech zamarł...

Szmer ucichł zaraz, ale niemal tuż za plecyma swemi usłyszała teraz sapanie czyjeś... Coraz wyraźniej rozeznawała, wsłuchując się, że ktoś za nią oddecha ciężko...

Zebrała resztki energii i nagle obejrzała się poza siebie.

Przed jej wzrokiem wśród czarnych ciemności zamajaczyło jakieś wysokie widmo białe, które na nią wytrzeszczało dwa błyszczące, jak u kota, ślepia...

Na ten widok krzyknęła i od razu straciła przytomność.

Głuchy łoskot rozległ się w sieni. Runęło na podłogę ciało ludzkie.

— — — — — — — — — — —

Kiedy z długiej nieświadomości rozbudzona, otwarła oczy dziedziczka, ujrzała przed sobą smugę światła, rozdzierającą na poły ciemną przestrzeń...

W ubraniu podróżnem leżała jeszcze na podłodze, ale w dużej kałuży zimnej wody i sama przemokła do bielizny. Obok niej chwiała się duża konewka na bok przewrócona. Dalej leżał również w wodzie tłomoczek z jej rzeczami.

Zebrała myśli z trudem i starała się zrozumieć, co zaszło. Cała wstrząsana dreszczem febrycznym, próbowała dźwignąć się, byle wydobyć się z kałuży zimnej...

— Gdzie ja jestem — pomyślała, przypatrując się ciemnej sieni, której skrawek zaledwie rozwidniało nieco światła, padającego, jak zauważyła, z drzwi na wpół uchylonych...

I naraz drzwi te drgnęły, szerzej się otwarły... Smuga światła rozdęła się, zachwiała gwałtownie, poczem zaraz blask jasny, oblewając leżącą na podłodze, poraził jej wzrok i na jedno mgnienie oka oślepił...

Podniosła jednak śpiesznie powieki.

To z lampą w ręce stał przed nią mężczyzna wysoki w bieliźnie, osłaniając się długim kocem brunatnym.

Zajrzała mu w twarz, pośrodku której błyszczały znowu kocie ślepia ogromne, rozwarte... To tych samych oczu przelękła się przedtem w ciemności...

Ale widok ich w świetle lampy nie uspokoił jej bynajmniej, tak się straszne wydały przerażonej i rozdrażnionej kobiecie...

A twarz blada, wychudła, dodawała mu jeszcze bardziej wyrazu upiorności...

Nie obca jej ta twarz...

— Kto to jest?... Jezus Marya!... Tak, to on! — jęknęła i naraz głowa jej już z ziemi podnosząca się w górę, opadła z powrotem w kałużę wody, a ręce zasłoniły oczy...

Poznała go... To ten sam waryat, który wówczas w nocy smagał sznurem obnażone ciało tercyarki.

Ale skądżeż ten ksiądz wziął się tutaj?... A raczej skoro on jest właśnie tutaj, to gdzież ona znajduje się w tej chwili?

Jak błyskawica przeleciała jej myśl przez mózg:

— To był podstęp... Wosinek zawiózł mnie na folwark...

Zerwała się z podłogi nagle i klęcząc we wodzie, powiodła naraz oczyma dokoła... Teraz w świetle lampy natychmiast rozpoznała sień folwarczną aż nadto dobrze jej znaną i pamiętną...

Więc nie pomyliła się. Znalazła się znowu na tym folwarku, na wygnaniu i w więzieniu, w towarzystwie księdza-waryata, przed którym niedawno stąd uciekła nocą.

Oparłszy się o wywróconą konewkę, podniosła się z ziemi, schwyciła swoje zawiniątko i brnąc przez rozlewającą się coraz szerzej kałużę, rzuciła się ku drzwiom w głębi, unikając wzroku waryata, który z lampą w drżącej ręce, w milczeniu wodził za nią oczyma...

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, wybuchnęła wielkim płaczem — wcisnęła głowę w poduszki, usiadłszy na krawędzi łóżka.

Zimno przejmujące zaczęło jej dokuczać wkrótce i wtedy przypomniała sobie, że jest cała przemokła.

Otarła z łez oczy, poczem jęła w pośpiechu zrzucać z siebie suknie. Odnalazła klucze i wyjąwszy z szafy inne, chciała przyodziać się w suche.

Uczuła się jednak do tego stopnia przeziębiona, że mimowoli musiała położyć się do łóżka.

Ale jeszcze raz z niego wyskoczyła, przypomniawszy sobie, że drzwi na klucz nie zamknęła.

— Przecież zaczyna się życie z waryatem za ścianą — pomyślała sobie — trzeba być ostrożną...

A kiedy wróciła pod kołdrę i jęła okrywać się szalami, byle się rozgrzać wśród dreszczów, myśl jej pracowała tylko w jednym kierunku: chciała znaleźć sposób na to, by nie potrzebować właśnie żyć przez ścianę z waryatem...

Jego stąd wyforować nie sposób. Więc idzie o to jedynie, by opuścić folwark co rychlej.

Gdyby do Chocimskich było bliżej, zaraz udałaby się do nich. Tymczasem do ich folwarku jest około sześciu mil — i zima!

Rano odezwało się pukanie do drzwi. Przeraziło to ją wielce. Postanowiła nie odzywać się z łóżka.

— To ja, proszę pani — usłyszała.

— Ach, to ty Magda, zaraz...

Służąca wytłómaczyła jej dopiero, że w obawie przed waryatem nikt ze służby nie nocuje w samym folwarku, tylko idą spać do obory.

Dlatego nikt nie wiedział o czyimkolwiek przyjeździe tej nocy.

Rano wcześnie mówił Magdzie żyd-faktor, który zjawił się w jakichś interesach na folwark, że jadąc przed świtem gościńcem, spotkał ogrodniczka dworskiego i dowiedział się od niego, że dziedziczka znowu przyjechała na folwark.

Skutkiem tej wiadomości jedynie, zajrzała Magda do pokoju pani i zaczęła na widok przemokłych sukien dopytywać się, co zaszło — czy nie przytrafiło się jej nieszczęście w drodze. (C. d. n).

Zjazd Tow. pedagogicznego we Lwowie.

Przez dwa dni: w niedzielę 15 i poniedziałek 16 bm. toczyły się we Lwowie obrady Tow. pedagogicznego.

Towarzystwo to, założone przed 40 laty, wytknęło sobie za cel wpływanie na rozwój szkół ludowych, średnich, seminaryów nauczycielskich, dalej popieranie wszelkich spraw wychowania publicznego i domowego w duchu narodowym. Dalszym celem stowarzyszenia jest udzielanie wzajemnej pomocy członkom, pomocy zarówno moralnej, jak i materyalnej, obrona powagi i stosunków służbowych nauczycielstwa, w szczególności ludowego i wydziałowego.

Do osiągnięcia tych celów służą konferencye członków, z odpowiednimi wykładami, odczytami i rozprawami, dalej wnoszenie memoryałów i petycyj do władz w przedmiotach wychowania, wydawnictwa literackie, w szczególności redagowanie organu Towarzystwa „Szkoła“, wreszcie znoszenie się Towarzystwa z ogółem nauczycielstwa w kraju w sprawach wychowania publicznego i stosunków prawnych nauczycielstwa. Ponadto udziela Towarzystwo swym członkom pomocy materyalnej w formie zapomóg, zasiłków dla rodzin w razie śmierci członka, zakłada dla nich sanatorya, gdzie na zdrowiu podupadli członkowie znaleźć mogą bezpłatne umieszczenie, wreszcie zakłada bursy prowincyonalne dla dzieci członków Towarzystwa. Jedną z ważnych gałęzi działalności Tow. jest kolonia w Hucie korostowskiej (w okolicy górskiej koło Skolego).

Tow. pedagogiczne liczy obecnie 2620 członków, w 53 oddziałach prowincyonalnych. Wedle ostatniego bilansu, majątek Tow. wynosił 251 191 koron w stanie czynnym, a 197.567 kor. w stanie biernym. Majątek tedy wynosił z końcem ostatniego roku przeszło 53 000 koron.

Od roku mieści się Towarzystwo w nowym, pięknym, trzypiętrowym gmachu, wybudowanym na gruntach przy ul. Zimorowicza, a frontem zwróconym ku ul. Friedrichów. Dom ten rentuje się bardzo dobrze.

Na czele Towarzystwa stoi zarząd główny, w skład którego wchodzi kilkanaście osób. Prezesem Tow. pedagogicznego jest od szeregu lat były prezydent miasta Lwowa, poseł dr. Godzimir Małachowski.

Na ostatnim zjeździe bardzo ważnym przedmiotem dyskusyi była sprawa regulacyi płac nauczycielskich. Sprawa ta — jak wiadomo — tłucze się od ... na w sejmie galicyjskim, nie mogąc się doczekać pomyślnego dla nauczycielstwa naszego rozwiązania. W obszernej rezolucyi, powziętej w myśl referatu posła Małachowskiego, zjazd ponownie zwrócił się do sejmu z żądaniem regulacyi płac. Z innych uchwał na wzmiankę zasługuje uchwała, zmieniająca nazwę Towarzystwa na „polskie“ Tow. pedagogiczne.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy członków Tow. pedagogicznego, biorących udział w obradach zjazdu.

Zagadki do nagrody.

Zagadka w szaradzie.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Że *pierwsza* przyimkiem, dobrze o tem wiecie,
Druga znowu zgłoska daje nazwę płaza,
Trzecia to litera — masz ją w alfabecie,
Całość — ten odkryje, kogo trud nie zraża.
Jestem przekonany, o dobrym wyniku,
Bo na *całość* patrzysz, miły czytelniku.

Logogryf.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.

Z następujących zgłosek: a, ber, dion, do, go, gor, i, ka, kij, ko, kryń, lia, limp, lo, ło, me, mi, moj, muz, naj, nia, no, o, o, or, pa, pol, ri, ru, ry, ski, ski, spiań, stoj, sy, ta, ta, toł, trecht, u, wicz, wy, yack, żesz — utworzyć 18 wyrazów, których litery początkowe utworzą nazwę jednego z doniosłych wypadków ostatniej doby w Królestwie Polskiem.

Znaczenie wyrazów: 1. Kraina w Ameryce południowej. 2. Rzeka w Ameryce południowej. 3. Genialny dramaturg i nowelista rosyjski. 4. Prowincya w Turcyi. 5. Góra w Grecyi, będąca mieszkaniem bogów. 6. Wielki wódz i prorok żydowski. 7. Największy współczesny poeta polski. 8. Imię żeńskie. 9. Wspaniały poemat Krasińskiego. 10. Bóg grecki. 11. Miasto w Królestwie Polskiem. 11. Zwierzę Tybetu. 13. Inaczej cesarz japoński. 14. Góra w Małej Azyi, znana z biblii. 15. Genialny powieściopisarz rosyjski. 16. Bóg złego u Persów. 17. Znakomity gramatyk polski. 18. Miasto w Niderlandach.

Zagadka głoskowa.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Z podanych poniżej liter ułożyć 10 wyrazów w ten sposób, by ich środkowe litery, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko autora „Z cichych tragedyj“. Litery są następujące:

a,	a,	a,	a,	a,
a,	a,	a,	a,	a,
a,	b,	d,	d,	e,
e,	i,	i,	j,	k,
k,	l,	l,	l,	l,
m,	m,	o,	o,	o,
o,	o,	o,	p,	p,
p,	r,	r,	r,	r,
r,	r,	s,	t,	t,
u,	u,	w,	z,	z,

Znaczenie wyrazów: 1. Słynny dowódca wojsk japońskich w wojnie rosyjsko-japońskiej. 2. Oznaka honorowa, nadawana za usługi wojskowe i państwowe urzędnikom, 3. Imię żeńskie, oznaczające tyle, co sławna. 4. Drzewo szpilkowe, rosnące w Tatrach. 5. Miasto w Królestwie Polskiem, słynne zwycięstwem Eugeniusza Sabaudzkiego. 6. Miasto w Galicyi, stanowiące osobne księstwo. 7. Miasto na Śląsku austryackim. 8. Gatunek pięknych psów. 9. Jeden z mniejszych dopływów Dunaju. 10. Miasteczko w Galicyi.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane poniżej litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły trzy słowa, w tymsamym porządku, w jakim ustawione są litery. Znaczenie słów jest następujące:

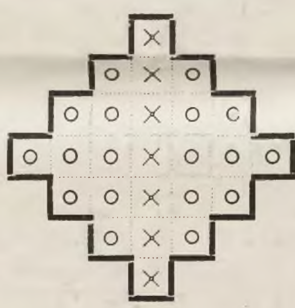
1/1. Imię żeńskie.
2/2. Miejscowość pod Warszawą.
3/3 Ryba.

Litery są następujące:

			1	2	3		
			a,	a,	a,		
			a,	a,	a,		
1	n,	s,	a,	c,	c,	s,	ó,
2	u,	u,	d,	d,	e,	w,	ó,
3	w,	z,	e,	i,	i,	z,	z,
			j,	j,	l,		
			m,	m,	n,		

Kryptogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

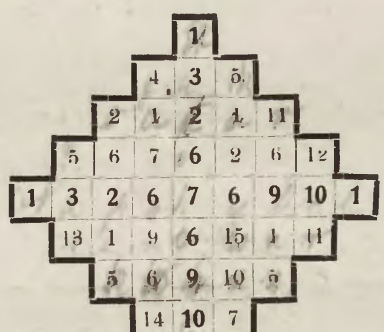


Kółka i gwiazdki zastąpić literami tak, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, dały jedną z najbardziej skończonych postaci w trylogii Sienkiewicza.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2, Roślina, mająca duże kwiaty czerwone. 3. Wyspa na Bałtyku. 4. ? 5. Część twarzy. 6. Miasto w Finlandyi. 7. Samogłoska.

Arytmogryf.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.



W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, by litery środkowe w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły najpopularniejsze hasło w walce wolnościowej doby obecnej w Rosyi.

Znaczenie wyzów: 1. Samogłoska. 2. Drzewo u nas pospolite. 3. Członek narodu, który niejednokrotnie dał się Polsce we znaki. 4. Miasteczko w Rosyi. 5. ? 6. Nac ynie do robienia herbaty. 7. Artysta, grający role komiczne. 8. Ryba. 9. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort orzechowy** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 28.

Szarady.

I. Kopernik. — II. Niemcewicz.

Łamigłówka.

Podane wyrazy należało ustawić w ten sposób: Galicya, rdest, Ursus, Syzyf, zaczarowany, Edzio, czyżyk, kańka, instynkt, pikieta, rainy, uginać, szpak, krokodyl, renifer, Alina, Stanisław, Zator, epopeja, wawrzyn, suseł, kukułka, Ifigenia.

I. Gruszecki — Prus — Kraszewski.

II. Leszczyński i Poniatowski.

Logogryf.

Woronicz, Łowiec, Argonauci, Dołgorukow, y — e, Saloniki ławnik Aładin, Wallonowie sybaryci Massonius, Ossyak, laicy, eter, Nippon, Sosnowice, Kallimach, Irawadi.

Władysław Smoleński i Henryk Sienkiewicz.

ZAGADKA.

S, Chwile, Szachraje, Większością, Mechesy, Starosta Zygwulski, Niebezpieczny człowiek, Czarna perełka, Nad przepaścią, Eli Makower, Szkice węglem.

Shakespeare.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M Arbesbauer Lwów, T. Domain Sanok, K. Fuchs Peczeniżyn, Dr. Warmski Turka, St. Nidjol Kraków, L. Rączkowski Kraków, M. Bartelmusowa Skałat, J Wodziczkówna Germakówka M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Przybysławice, K. Bobek Zakopane, Z Szymczakowska Zakopane, Fr. Oborniak Budapeszt, Fr. Janicki Łazy, B. Rudkowska Lwów, M. Świtlikowa Rzeszów, M. Rozański Gorlice, St. Łaszkiewicz Dębica, Fr. Niepokój Krosno, Tow „Zgoda“ Krosno, K. Dawidowicz Tumpole, M. Kuzia Wadowice, Al. Bocsoń Bóbrka, A. Surowiecki Kraków, H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, J. Haładej Górki, J Badura Rożdzień, J. Biegoń Slemień, M. St. Bassara Niwiska.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **Franciszek Niepokój** w Krośnie.

Kącik humorystyczny.

Czy do papierka?

Lejzor przychodzi do drogueryi i każe sobie dać proszku na owady.

— Czy mam dać w papierze — pyta subjekt — czy też w słoiku?

Lejzor robi duże oczy i milczy.

— Pytam, czy panu dać flaszeczkę czy tylko nasypać do torebki papierowej — wyjaśnia mu subjekt swoje pytanie.

Wtedy Lejzor rozpina kołnierz, odchyla koszulę na karku i pokazująo subjektowi, mówi:

— Proszę mnie lepiej odrazu tutaj nasypać.

Co to jest droga do piekła?

Teściowa: A to nie ładnie, kochany zięciu, żeś mnie tak dawno już nie odwiedził...

Zięć: Dawno już chciałem to zrobić, ale trudno mi było jakoś zebrać się na to, bo widzi mama, przysłowie powiada, że droga do piekła wybrukowana jest dobremi chęciami.

NADESŁANE.